PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 30 MAJA 1936 R. * NUMER 22 (139)

POEZJA WIELKOŚCI



Połowa maja — to najpiękniejszy czas w Wilnie, to wczesna wiosna dopiero, wczesna i spóźniona zarazem. Jeszcze nie kwitły bzy i kasztany, zieleń jest młoda, jasna i wrażliwa. Ale jest jej już tyle, że puszystemi festonami zasłonić może wszystko, co w Wilnie jest ubogie, smutne i szpetne: koślawe płoty, zmurszałe rudery obok nadobnych kształtów baroku.

Tego roku na pomoc zieleni zjawiły się chorągwie i sztandary. Wyrosły w ciągu jednej nocy na czarnych słupach uwieńczonych orłami, objęły pół miasta szpalerem czarno-niebieskim jak wstęga Virtuti Militari i czarno-czerwonym jak wstęga Krzyża Niepodległości. O zmroku z ciemnego, poszarpanego masywu Wilna wydobyły reflektory to co jest tu w budowlach najpiękniejsze. Miasto otworzyło swą staroświecką szkatułę, by błysnąć gościom w oczy antycznemi klejnotami: zalśniła strzelista architektura wieży świętojańskiej przy uniwersytecie, wystąpiły kolumnady Katedry, Pałacu Rzeczypospolitej i Ratusza, czarowała jarząca się światłem Ostra Brama i kościół św. Teresy.

W te wieczory pochmurne, grożące deszczem, ciepłe i parne, światło odegrało w Wilnie osobliwą rolę. Czyjaś ręka mądrze kierowała snopami elektrycznych promieni. Szły one po ziemi i po niebie. Tuż za kopułą kaplicy św. Kazimierza palił się ciemny rubin baszty na Górze Zamkowej, wysoko w czarnej chmurze opodal tkwiły oślepiająco białe Trzy Krzyże. Nad Ostrą Bramą ukazała się kometa, opuszczająca sześć promiennych wstęg na Świętą Teresę, gdzie w nocy z dnia 11 na 12 maja stała poraz ostatni trumna matki Piłsudskiego, a u jej stóp Jego Serce.

W tę noc szły do Wilna ostatnie pociągi wiozące sztandary wojenne, wieńce i ludzi na wielką procesję, jaka się miała tu odbyć nazajutrz. Bo to nie był pogrzeb — to była uroczysta procesja z relikwjami miłości. Miłość synowska i miłość Ojczyzny posiadły swe symbole w tej trumnie, sprowadzonej z Litwy, w tej czerwonej lektyce, ukoronowanej srebrem orłów legjonowych.

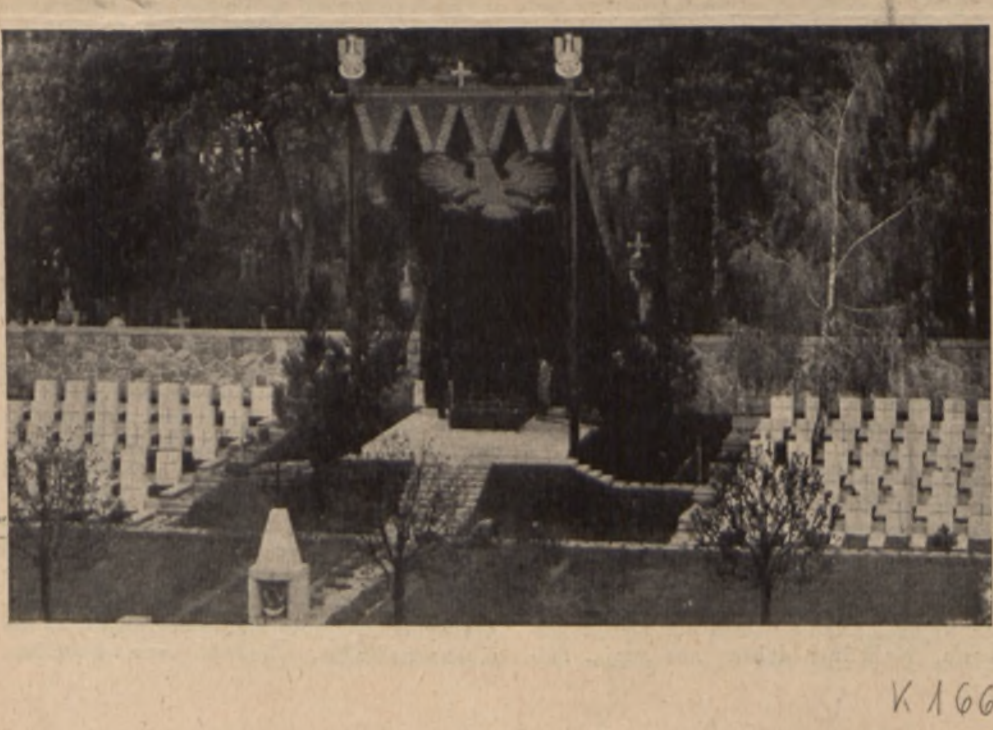
Zanim procesja ruszyła z kościoła przez miasto — w mieście stały ogromne ciche tłumy, słuchając śpiewów żałobnych i organów. To szło z megafonów, i Wilno w ciągu tej godziny samo było jak kościół. Stłumione słońce toczyło się górą, czasem wiatr przebiegał po młodych liściach, falowały z westchnieniem sztandary, flagi, chorągwie, szeleściły transparenty, wyobrażające wszystkie bodaj miasta i powiaty Rzeczypospolitej.





A potem na przestrzeni pięciu prawie kilometrów rozwinął się pochód. Szły przodem poczty sztandarowe: dziewięćdziesiąt sztandarów piechoty, pięćdziesiąt sztandarów jazdy. Biły spowite w kir bębny w rytm głuchego marszu żołnierzy. Żołnierze w hełmach osadzonych nisko na oczy mieli kształt rycerzy ze starych rapsodów: marsowy, groźny i smętny zarazem. Kordony wojskowe wzdłuż szlaku prezentowały broń.

W połowie procesji płynęła lektyka z sercem, a za nią na lawecie owa trumna matczyna, owinięta sztandarem państwowym. I znowu żałobne szeregi, znowu tłumy. Wszystkie kościoły dzwonią, z wieży katedralnej gra hejnał wileński, szumi nad miastem poczwórny klucz samolotów, tylko ludzie milczą, posuwając się naprzód wolnym, jakgdyby sennym krokiem. To co jest w Polsce najwyższego: rząd, armja, społeczeństwo, to co urodziło się i skrzepło w promieniach Serca Marszałka idzie teraz w tej jedynej, niepowtarzalnej procesji wąskiemi ulicami Wilna ku Rossie.



Naprzeciw cmentarza na Rossie są wysokie wzgórza. Przeznaczono je dla dzieci na ten dzień. I rozsiadły się tam od rana wieloma rzędami, jak roje ptactwa, oblepiły zielone stoki różnobarwnością sukienek, mundurków, chustek wiejskich. Na samym szczycie za nimi po przełęczach między drzewami rozwinął się łańcuch konnicy. Konne sylwety z chorągiewkami na lancach stały nieruchomo na tle nieba. Dzieci i ułani patrzyli w dół na cmentarz poległych, gdzie „mogiłki leżą jedna przy drugiej jak żołnierze w szeregach“, gdzie amarantowy baldachim znaczył miejsce spoczynku dla Serca. Na pułapie baldachimu biały Orzeł rozpościerał wielkie skrzydła nad czarnym blokiem mogiły, nad wykutą w kamieniu strofą Słowackiego:

Kto mogąc wybrać wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła, niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu —
Tak żyłem...

Tą dumną poezją przy biciu armat, przy dźwiękach Hymnu Narodowego nakryto Serce Marszałka.

W tem wszystkiem co 12 maja działo się w Wilnie, oprócz ducha Józefa Piłsudskiego, obecnego w myślach i uczuciach tysięcy, był też duch Słowackiego. Przyjdzie kiedyś czas na dokładne rozważenie czarownego stosunku, łączącego te dwa duchy. Ktoś — poeta raczej niż polityk — napisze może studjum o wpływie poezji Słowackiego na styl czynów Marszałka. Lecz na jedno pytanie trudno mu będzie odpowiedzieć: czy to Rycerz Niepodległości obrał sobie w Słowackim pocieszyciela swej orlej samotności, gdy dla odpoczynku duszy przepowiadał sobie jego strofy, czy to poeta obrał sobie w Piłsudskim realizatora swych marzeń o zwycięstwie za grobem? Pytanie to wkracza w dziedzinę mistyki.

Przejęcie się Piłsudskiego poezjami Słowackiego, widoczne w Jego najbardziej osobistych wypowiedziach: te cytaty w ostatnim liście pisanym z Pikieliszek na zjazd legjonistów („A kiedy grzebię w Ojczyzny popiołach...“), Jego wola ostatnia. oddająca po śmierci serce matce, powtarzająca w tym geście testament poety, który zabrzmiał na Rossie z ust Prezydenta Rzeczypospolitej, ten napis wzięty z *Beniowskiego* na płytę grobową — czegoż dowodzi? Oto tej starej prawdy, że na najwyższych swoich szczeblach słowo i czyn tracą dzielący je w zwykłem życiu przedział, poezja wielkości i wielkość poezji stają się tożsamością.

TADEUSZ ŁOPALEWSKI





WYSTAWA „MARSZAŁEK PIŁSUDSKI A WILNO"



Zorganizowana z inicjatywy Bibljoteki Uniwersyteckiej w Wilnie — w jej lokalu — włączona została wystawa do ogólnego programu uroczystości, związanych z pogrzebem prochów Matki i przeniesieniem Serca na Rossę. Czasem swego trwania (11.V — 7.VI) wykracza wszakże poza ramy obchodu pierwszej rocznicy zgonu Marszałka. Zarazem składa świadectwo, iż bibljotekarstwo naukowe wykazuje ścisły związek z życiem bieżącem, posługując się właściwemi mu metodami — w danym przypadku: techniką wystawową — dla dokumentacji i popularyzacji zagadnień chwili.

W zakresie treściowym wystawy położono główny nacisk na stosunek Marszałka do ziemi wileńskiej. Zacieśnienie takie ma swoje uzasadnienie. Postać Marszałka posiada już w tej chwili tak obfitą dokumentację, że wyczerpujące jej zgromadzenie i ekspozycja należą do rzeczy niemożliwych w warunkach Bibljoteki Uniwersyteckiej. Ponadto, co ważniejsze — tak zakrojona wystawa przytłoczyłaby bogactwem materjału najbliższe środowisku organizującemu — momenty regjonalne. Wynikająca stąd konieczność selekcji zagadnień sugerowała skupienie uwagi właśnie na tym terenie, tem bardziej, że jest on krajem dzieciństwa, młodości i początków pracy niepodległościowej, zczasem — wyzwolonym i wyposażonym przez Marszałka w odnowiony Uniwersytet.

Racje te sprawiły, iż w przyjętym układzie chronologicznym brak szeregu momentów z życia Marszałka; ważniejszych — nie wileńskich—wszakże nie wyłączono, jedynie udokumentowano mniej obficie. Jako metodę grupowania przyjęto łączne podawanie dokumentów, synchronizujących autografów i fotografij oraz opracowań. Przytem zastosowano wykładanie specjalnie ciekawych tekstów (m. in. także z dzieł Marszałka), obrazujących poszczególne momenty Jego działalności.

Wystawę otwierają eksponaty dotyczące rodu Piłsudskich, Rodziców i Rodzeństwa, Zułowa (fotografje ks. P. Śledziewskiego, akwarele — Z. Kononowicza), pobytu w gimnazjum wileńskiem. Warto tu wymienić piękny portret Matki, kompozycje muzyczne Ojca Marszałka i rękopiśmienny pamiętnik Bronisława Piłsudskiego, odnoszący się do r. 1883.

Procces 1887 r. i zesłanie ujawniły nieznane listy Marszałka, pisane z drogi na Syberję (dokładnie: wyciągi z 2 listów — 18.V i 19.VII 1887) oraz 4 listy autografy z Kireńska (10.VI, 21.X. 24.X.1888, 24.VI.1889) adresowane do Stefanji Masłowskiej (obecnie — Tromszczyńskiej).

Praca pisarza, redaktora i drukarza. przerwana uwięzieniem w 1900 r., zgromadziła dokumenty par excellence związane z Wilnem (*Robotnik*, artykuły w *Przedświcie*, *Walka*). Akcja bojowa (Bezdany), potem organizacje wojskowe w Małopolsce poprzedziły gabloty legjonowe, gdzie udało się pokazać niezmiernie ciekawe druki-dokumenty chwili — oraz kurtkę legjonową Marszałka (własność 85 p. strzelców wil.).

Sporo miejsca poświęcono kampanji 1919 r. (piękna akwarela F. Ruszczyca: Wjazd ułanów przez Ostrą Bramę). Srebrne klucze m. Wilna, pomysłu F. Ruszczyca, ofiarowane przez miasto (użyczone na wystawę z Muzeum Belwederskiego) stanowią punkt centralny wystawy wraz ze sztandarami 1 i 5 p. p. leg.

Fakt odnowienia Uniwersytetu (m. in. oryginał aktu wskrzeszenia) oraz stała opieka roztaczana nad nim (pokazano list autograf, w którym Marszałek zrzeka się poborów na rzecz U. S. B.) stworzyły bardzo zwartą całość, w której nie zabrakło także dyplomu doktora filozofji h. c., udzielonego przez Wydz. Przyrodniczo-Matematyczny Uniwersytetu Wileńskiego. Poczem opracowane przez Bibljotekę daty pobytów (od 1919 r.) Marszałka w Wilnie zilustrowano odpowiednim materjałem fotograficznym i artykułami z czasopism, włączając tu także Świątniki, Pikieliszki i Druskieniki. Zamykają wystawę materjały z pogrzebu (1935) oraz obchodu 1936 r.

W punkcie centralnym sali zgromadzono dzieła Marszałka i Jego oraz Jego Małżonki exlibrisy. Ponadto poszczególne grupy druków podały literaturę legjonową, opracowania dotyczące Marszałka, — osobno w językach obcych, beletrystykę związaną z postacią Marszałka, także — dziecięcą, literaturę wojskową, druki okolicznościowe (m. in. jednodniówki imieninowe). Nie zabrakło też gabloty muzycznej i filatelistycznej.

Dokumentację uzupełniają cenne objekty prowenjencji wileńskiej, wypożyczone z Muzeum Belwederskiego, jako to: dyplomy honorowego obywatelstwa poszczególnych miast i gmin, złoty ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej oraz wiele innych. Ikonografję reprezentowały dzieła malarzy i rzeźbiarzy wileńskich lub z Wilnem związane.

Zgromadzone eksponaty pochodzą częściowo ze zbiorów Bibljoteki Uniwersyteckiej w Wilnie, częściowo wypożyczone zostały z innych. Uzupełniono je przedmiotami udzielonemi przez Rodzinę Marszałka, prywatnych posiadaczy i wojsko. Udatna dekoracja sali w barwach virtuti militari podkreśliła pietyzm, z jakim Bibljoteka odniosła się do Wielkiego Odnowiciela Uniwersytetu Stefana Batorego.

H. HLEB-KOSZAŃSKA

WILNO Z LAT DZIECINNYCH

Ach, jak to dobrze, że w Polsce jest miasto, które nazywa się Wilno! I że można, nie przekraczając żadnej granicy, wrócić tak prosto i tak niepostrzeżenie do czegoś, co wydawało się utraconem już na zawsze, gdzieś za tysiącem rzek, a było w rzeczywistości tuż obok, pod ręką: nietknięte, świeże, zaledwie jakby rozkwitłe...

Wilja, znajoma rzeka, płynie pod oknami naszych pokoi. Wody jej szybko i nieustannie gdzieś się posuwają. Drżą na nich w nocy podłużne rozkołysane odblaski latarni, palących się na moście i ogni oświetlonych domostw na jej urwistych brzegach. Wchłania w siebie ta woda wszystkie barwy i nastroje dnia, wchłania żar lub zimno wszystkich pór roku.

Groźny i ponury staje się jej wygląd w zimie, gdy popędzane mrozem zjawiają się na jej powierzchni kry lodowe, fosforycznie odcinając się na jej mrocznej czerni, złowrogo szeleszczą, pomrukują, nałażą na siebie i trącają się wzajemnie... Zawzięta toczy się walka pomiędzy wodą a lodem, ogarniającym na progu zimy coraz większą przestrzeń, aby zatamować jej bieg...

Od tych brzegów, pod naporem kapryśnego prądu, zakreślających najbardziej niespodziewane łuki, od całego krajobrazu miękko falującego wieje czemś pradawnem.

Przeszłością, historją przepojone jest całe miasto, z wieżycami jego niezliczonych kościołów, wąskiemi ulicami, zakątkami tak malowniczemi, że co chwila bije mocniej serce od świadomości związku pomiędzy tem, co nazywamy teraźniejszością. a tą przeszłością, która nie umiera, lecz niewidzialna ożywia sobą wszystko, co mamy przed oczami...

Sufity w pokojach, które obecnie zajmujemy, są lepione, staroświeckie, a piece wysokie, białe, kaflowe, takie same, jakie były w naszem mieszkaniu, w domu naprzeciwko ogrodu miejskiego „Cielętnika", gdzie bawiłyśmy się w dzieciństwie.

Ten dom z szarej cegły miał dwa piętra i stoi na tem samem miejscu. Te same dwa żelazne balkony sterczą na jego froncie, te same rzeźbione drzwi prowadzą na drewniane schody. Tych stopni dotykały nogi ojca mego i matki, dotykały i nasze maleńkie dziecinne stopy. Zadzwonię, ktoś mi otworzy i wejdę do przedpokoju. Jest dość wąski i oddzielony drewnianem przepierzeniem od pokoiku, gdzie sypiał nasz służący. Stąd prowadzą drzwi wprost do dużego salonu o błyszczącej posadzce. Meble w tym salonie są niebieskie i portjery tego samego koloru. Na kominku zobaczę zaraz dwie porcelanowe wazy, zegar z bronzu i tę śmieszną figurynkę z fajansu, starą Chinkę, siedzącą z podwiniętemi nogami i ruszającą naprzemian rękami i głową. a przytem jeszcze i językiem. Następny pokój za salonem to gabinet ojca, a dalej...

Zgasiłam wczoraj światło wcześniej aniżeli zwykle. Patrzyłam długo w oświetlony sufit sąsiedniego pokoju, i nagle zupełnie zniknął przedział oddzielający chwilę obecną od tamtych czasów: uczułam ciepło dziecinnego pokoju, a w uszach cichy dźwięk nocnej jego ciszy. Nasze trzy dziecinne łóżeczka stoją pod ścianami. Tuż obok nich wielkie łóżko niani, pokryte czystą białą kapą. Czerwona lampka oliwna na wysokiej nóżce pali się przed świętemi obrazami i napełnia pokój różowym półmrokiem. Wyraźnie oświetla twarz Marji Magdaleny: Święta ma oczy podniesione do góry a ręce skrzyżowane na piersiach. Obraz jest stary i ma prawie czarne tło. Nasza patronka: mojej matki i moja własna.

Bezgłośnie płynie przezroczysta wileńska noc. Ani jeden dźwięk, nawet odległy turkot kół nie dolatuje z ulicy... Oczy zamykają się powoli...

Wąski promień światła słonecznego wdziera się do pokoju poprzez szparkę w zasłoniętej czarnej firance. W samym środku tej złotej rozpylonej strzały radośnie koziołkują mikroskopijne kuleczki. Chciałabym wyskoczyć z łóżka, lecz mi nie wolno tego zrobić, zanim nie przyjdzie ktoś i nie podniesie firanek. Pewnie jeszcze niema ósmej. Siostry śpią z głowami głęboko wciśniętemi w poduszki. Nie znoszę łóżka, gdy już jest jasno na dworze! Szkoda czasu! Zdaje się, że słychać czyjeś kroki?... Nareszcie! Zrywam się jednym susem. Niestety, tyle ma się przed sobą nieznośnych czynności do zrobienia: mycie, ubieranie! Oby jak najprędzej się tego pozbyć. Lecz nie można nie podejść do okna i nie wyjrzeć, aby zobaczyć, co się dzieje na dworze. Czy chcesz, czy nie chcesz, musisz najpierw popatrzeć na górę zamkową. Jest cała obrośnięta drzewami, a na samym jej czubku stoi wieża przysadkowata i jakby obcięta. Wciąż to samo! Nie rusza się z miejsca! I tylko w południe, gdy na zegarach wybija powoli dwunasta, rozlega się z tej wieży armatni strzał, na całe miasto, tak że drżą szyby, a my podskakujemy ze strachu. Nudzi nas i „Cielętnik", przymus rannych spacerów... — „Dzieci powinny jak najwięcej używać powietrza" — powiedziała mama. Lecz w mieście to powietrze nie jest takie samo jak na wsi i nie sprawia żadnej przyjemności. Wręcz przeciwnie, budzi niewytłumaczalną tęsknotę za wolnością. Wystarczy przypomnieć sobie te spacery z Mademoiselle wzdłuż głównej ulicy w zimie. Tam i z powrotem! Musimy słuchać i wkładać na siebie ciepłe kamasze, kalosze, ciepłe okrycia na głowę, rękawiczki i tak opatulone maszerować nie wiadomo dokąd, zupełnie bez celu...

Gdzie ona nas poprowadzi dzisiaj, nasza Mademoiselle? Przecież od niej zależy aby spacer był dłuższy lub krótszy. I niema na to rady! Czy pójdziemy aż do końca tej długiej ulicy? Świętojerskiego prospektu? Tam, gdzie zaczyna się już las: Zwierzyniec...

Jest nam trochę mniej nudno na tych spacerach, wtedy gdy mamy na sobie nowe zimowe płaszcze i nowe kapelusze. Najpiękniejsze były te czerwone w kratkę szkocką. Miały one długie plisowane peleryny, a do tego kazała nam mama zrobić białe wełniane kapotki. Mama ubiera nas zawsze jednakowo. W Wilnie dobrze nas znają. Mówimy zawsze po francusku i może dlatego na ulicy zwracamy na siebie uwagę. Zdarza się, że podczas spaceru ktoś z przechodniów z ciekawości zbliży się do Mademoiselle i zapyta: „Czyje są te dzieci?" Nie dajemy jej czasu otworzyć ust i same dumnie odpowiadamy: jesteśmy panny Bunin!

Wszystko jednak zupełnie się zmienia, gdy przychodzi koniec zimy... Jakże cudownie jest wtedy w Wilnie! Tyle przyjemności mają dzieci! Najpierw przylatują skowronki. Te „skowronki" można kupić w piekarniach za parę groszy. Są to słodkie bułeczki mające kształt ptaszka z czarną rodzynką zamiast oka. Gdy trzymamy je w rękach, wiemy napewno, że jest wiosna, że się zaczęła.

Na ulicach w twardej skorupie śniegu tworzą się szczeliny, a pod niemi wesoło i głośno szemrzą mętne strumyki. Pod działaniem słońca wiosennego strumyki te stają się wkrótce potokami, które płyną wzdłuż drewnianych chwiejnych chodników, z jednej i drugiej strony ulicy. Nie zawsze jest łatwo przeskoczyć przez tę wodę. Płyną one i latem, już całkiem wąskiem korytem, zabierając ze sobą skórki pomarańczowe i inne śmiecie, które napotykają po drodze. Nie mogę wyobrazić sobie dawnego Wilna bez tych ścieków wzdłuż chodników. Nikogo one zresztą nie raziły.

Lecz jeszcze bardziej *słychać* wiosnę w głośnym turkocie dorożek, gdy całkiem stopnieją śniegi i trzeba jeździć na kołach. Całe miasto aż huczy od tego szumu. Tylko zrzadka jedzie jakiś powóz na gumach, „własny powóz"... Znamy je wszystkie z widzenia. W Cielętniku zieleni się trawa i można już ostrożnie zerwać kilka gałązek rozkwitłych wierzb, które zapowiadają zbliżenie się cudownego Święta: — Palmowej Niedzieli. Cielętnik już nie jest nudny. Serce bije radośnie na myśl o tem, że niedługo w Zwierzyńcu i na Antokolu zakwitną małe fiołkowe kwiatuszki. Nazywamy je „śnieżyczkami". W ich płatkach schowana jest dla nas dusza wiosny. Pójdziemy do lasu zbierać je. Spacery przestaną być czemś niepotrzebnem. Bo niebo w Wilnie na wiosnę staje się bardziej aniżeli niebieskie, a powietrze więcej aniżeli przezroczyste... I białe chmury na tem niebie płyną lekko, jak białe lekkie statki żaglowe...

Jedziemy na Antokol! Tramwaj zatrzymuje się tuż pod naszym domem. Mały wileński tramwaj, ciągnie go jeden i w dodatku chudy koń. I tylko wtedy, gdy ulica zaczyna piąć się w górę, przyczepiają drugiego konia, aby mu było lżej ciągnąć. Nie wesołe jest jego życie! Lecz dla nas jazda w tym tramwaju jest przyjemnością. Tam na Antokolu zaczyna się wieś: drzewa, ogrody, lasy...

*

Nie ulega jednak wątpliwości, że najcudowniejszem zdarzeniem pierwszych dni wiosny w Wilnie jest jarmark Św. Kazimierza, tak zw. „Kaziuk". Powietrze już jest ciepłe i mama pozwoliła nam włożyć te piękne nowe płaszczyki. Z okien naszego mieszkania widać całą katedrę, obok niej wieżę i wielki plac, na którym odbywa się jarmark. Czarno jest tam od ludzi. Prędzej! Prędzej! Trzeba się pośpieszyć, bo inaczej wszystko rozkupią i nie zostanie dla nas nic. Już zdaleka dolatują dźwięki piszczałek. Zbliżamy się do pierwszych straganów, naprędce zbitych z desek. Niezliczona ilość wozów chłopskich z przywiązanemi do nich końmi. Naładowane są Bóg wie czem. Góry obwarzanków, najrozmaitsze drewniane zabawki: koniki, taczki... Duże balje, koryta, łyżki... Oczy rozbiegają się zachwycone. Lecz szukają one czegoś innego: ukochanych różnokolorowych baloników! Czerwone, zielone, fioletowe, niebieskie, płoną one tam w słońcu jak tęczowy bukiet, przytrzymane na długich nitkach czyjąś ręką. Rozpaczliwie wyrywają się z tej ręki, robią dziwaczne ruchy, aby się wydostać na wolność, kołyszą się w powietrzu od każdego podmuchu wiatru. Gdy się już ma taki balon, trzeba wciąż o nim pamiętać, mocno trzymać go za sznurek, inaczej wyślizgnie się pomiędzy palcami — i już go niema! Z początku podnosi się wolno, potem coraz prędzej, w podskokach, coraz wyżej. Wzrok już nie potrafi za nim nadążyć. Staje się on coraz mniejszy, już tylko czarny punkcik w błękitnem powietrzu.. Ach, jaka szkoda! Lecz zato gdy się taki balon przyniesie do domu, cały dzień nabiera posmaku czegoś niezwykłego. Puszcza się go wolno. Leci pod sufit. Niech sobie leci! Z taburetu można łatwo chwycić za sznurek i ściągnąć go na ziemię. Pogłaskać go, powąchać, ma taki przyjemny zapach gumy, a palce przywierają odrazu do wydętej powierzchni. Wieczorem zasypiając, trzeba jeszcze raz na niego popatrzyć. Nazajutrz pierwsza myśl, pierwsze spojrzenie jest dla balonika. Niema go na dawnem miejscu na suficie! Szuka się go niespokojnie oczami po całym pokoju. Pomarszczony, zgrzybiały, czarny od zgryzoty słania się gdzieś w kącie na podłodze. Biedny, miły baloniku,

serce się ściska, a życie staje się odrazu znowu bardziej codziennem.

Balony nie są jedyną przyjemnością jarmarku wileńskiego. Piękniejsze może od nich są kwiaty papierowe! Chodzimy pomiędzy temi kwiatami — słonecznikami na długich łodygach, bzami o różnych kolorach, olbrzymiemi makami, bławatkami, różami, gwoździkami — jak w zaczarowanym ogrodzie. Prosimy mamę, aby kupiła nam ten wazonik z różyczką, wszystko jest papierowe, lecz żaden prawdziwy kwiat nie może być tak piękny jak ta róża. Listki są błyszczące, jaskrawo zielone, jak posmarowane lakiem, a kwiaty mają taki kolor, tak cudownie wygięte płatki, że nigdy takich róż nie bywa w prawdziwem życiu. Wazonik jest cały owinięty w różową bibułkę. Mama kupuje nam wazonik. jesteśmy szczęśliwe, będzie on nas cieszył jeszcze długie tygodnie.

Teraz przechodzimy obok kramów ze słodyczami: wschodnie słodycze! Orzechowa chałwa, nugaty, rahat-łukumy. Za ladą stoi ktoś czarny w białym fartuchu i białej czapeczce na głowie. My chcemy nugatu, tego, którego nie można rozgryźć, bo gdy się go ma w ustach, przylepia się do zębów i trudno go od dziąseł oderwać, aby móc po wielu trudach nareszcie go połknąć. Ta trudność sprawia właśnie największą przyjemność i emocję. Kupujemy też kilka sznurów z obwarzankami i jak kolje zawieszamy je sobie na szyję. Wszyscy chodzą w dzień Św. Kazimierza z obwarzankami na szyjach lub przypiętemi do guzików płaszczy. Wszyscy mają twarze nie takie jak zawsze — uśmiechnięte i zadowolone. Kto potrafi zjeść te góry obwarzanków? Obok nich leżą duże kolorowe serca z piernika, całe polukrowane w desenie kwiatowe. Czasem są na nich napisy z cukru. Kto robi te cudowne rzeczy, które można zobaczyć tylko raz do roku a potem gdzieś znikają bez śladu?..

Patrzcie! Kogut! Stoi w jednym z kramów na widocznem miejscu i za chwilę może zapieje: Ku-ku-ry-ku! Mama tłumaczy nam, że ten kogut jest wypchany, nie żywy. Tem bardziej chcemy go kupić. Bardzo, bardzo o to prosimy! Niedługo już nie będziemy miały rąk, aby to wszystko udźwignąć: zabrać do domu. Niesiemy koguta jak świętość, aby go nie uszkodzić... Lecz trudno się nie zatrzymać przed żywemi ptakami... Pełno ich w klatkach, które wiszą pod daszkiem, jedna obok drugiej: zielonych, szarych z różowemi gardełkami, złotych kanarków. Jeden z tych kanarków zapamiętale śpiewa, nie zważając na tłumy naokoło, nie bacząc na ciasne więzienie. Mamy w domu dużo ptaków, lecz żaden z nich nie śpiewa jak ten kanarek. I mama już wie, o co nam chodzi. Klatkę z kanarkiem bierze Mademoiselle. Jest dla nas za ciężka. — Już dosyć, dzieci! — mówi mama już bardziej srogim głosem. — Chodźmy do domu! nie kupię wam przecież całego jarmarku...

Biedny kogut! Niedługo ozdabiał nasz pokój dziecinny. Nie mógł już pozostać z nami, bo zatruwał powietrze. Widocznie ci, co chcieli go uwiecznić, za mało się liczyli z jego ziemską przyrodą. Wyrzucono go do śmieci.

Gliniane psy i koty są dawno stłuczone, piernikowe serca zjedzone, kwiaty z bibuły rozsypały się gdzieś w proch, lecz jarmark wileński, jak feniks, odnawia się co roku. Jest mu za ciasno na placu przed katedrą, przeniósł się na Łukiszki. Lecz jak i dawniej w dniu św. Kazimierza gwiżdżą po mieście piszczałki, różnobarwne balony trzepocą w ciepłem po wiosennemu powietrzu, tylko te balony, niestety, przestały latać, stały się bardziej oswojone. Po dawnemu rozkwitają śród straganów najrozmaitsze gatunki kwiatów papierowych. Gliniane dzbany i samodziały o szlachetnych barwach przykuwają spojrzenie.

I radością jest odnaleźć cząstkę swego dzieciństwa — niewzruszoną, nietkniętą wśród dokonywających się dookoła zmian. Bo w Wilnie dużo się zmieniło! Całe miasto, całe stare polskie Wilno, po długim ucisku jakgdyby zapłonęło nowem życiem. Powstało z popiołów. Przemówiła jego historyczna uczelnia: uniwersytet Stefana Batorego! Wprost uwierzyć trudno, że były lata, gdy jego ściany były zamienione na prawosławne kaplice, na rosyjskie gimnazja. Wszystko to zmiotła wojenna burza i przywróciła Wilnu jego własne oblicze — jedno z najbardziej wyrazistych, jakie widziałam pośród miast w Polsce.

MARJA KASPROWICZOWA

JOACHIM LELEWEL

(W 75 ROCZNICĘ ZGONU)



Urodzony w Warszawie 22 marca 1786 r. Joachim Lelewel pochodził ze spolszczonej rodziny niemieckiej, wywodzącej się z Prus Królewskich. Wychowanie otrzymał staranne najprzód w domu rodzicielskim, potem w Konwikcie Pijarów w Warszawie, wreszcie od 1804 r. na Uniwersytecie w Wilnie, gdzie do studjów historycznych zaprawiał go wybitny uczony, badacz starożytności, profesor Ernest Groddeck. Pod jego głównie kierunkiem rzuca się pracowity i wykazujący wielkie zamiłowania naukowe Lelewel w wir poważnych studjów, żmudnych badań starożytności, a rezultatem tych młodzieńczych trudów staje się w 20-ym roku życia wydana książka: *Edda czyli Księga religji dawnych Skandynawji mieszkańców* (Wilno 1807), niewolna od błędów, lecz świadcząca o samodzielnych zdolnościach badawczych młodego autora. Opuszczając w 1808 r. mury uniwersyteckie, nie zdawszy egzaminów końcowych i bez tytułów naukowych, ma już za sobą szereg prób autorskich: krytyczne recenzje dzieł historycznych polskich i obcych, do *Kalendarza Wileńskiego* skreśloną „Historję Prus", kilka naukowych prelekcyj wygłoszonych w założonem przez siebie Towarzystwie Filomatycznem, poważanie u kolegów i profesorów, świadomość swych sił badawczych. W takich warunkach, zwróciwszy na siebie uwagę znakomitego pedagoga Tadeusza Czackiego, powołany zostaje w 1809 r. na katedrę geografji w Liceum Krzemienieckiem. Zarówno praca w Liceum, jak i podróż naukowa po Wołyniu, jak wreszcie zajęcie bibljotekarskie przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie pozwala Lelewelowi na zebranie olbrzymiego zapasu notat i rozszerzanie zasięgu wiadomości, które pogłębiać będzie odtąd stale przez całe swe pracowite życie. Z zaparciem siebie pracuje w odosobnieniu, z trudem wchodzi do zamkniętego i ekskluzywnego świata ówczesnych warszawskich uczonych, niechętnie patrzących na samodzielnego młodzieńca, kroczącego własnemi drogami i nie poddającego się utartym kryterjom, panującym w naukach humanistycznych, zwłaszcza gdy, sięgając wgłąb dziejów polskich, poddał rewizji ustalone poglądy o pierwotnem pochodzeniu Polski (*Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa polskim XII wieku dziejopisem*. Wilno 1811), obalając na podstawie tekstów legendy, związane z Lechem i Krakusem.

Rok 1812 — upadek Napoleona i Księstwa Warszawskiego nie przerwał naukowych trudów Lelewela. W przeciwieństwie do całego otoczenia i rodziny nie dał się unieść powszechnej fali entuzjazmu. Podczas odwrotu wojsk napoleońskich z nad Berezyny pisał w zaciszu domowem na wsi u rodziców *Historję Polską do końca panowania Stefana Batorego* (wydaną dopiero po jego śmierci w 1863 r.). W 1814 wydaje owoc swych pięcioletnich poszukiwań i studjów: *Pisma pomniejsze geograficzno-historyczne*, które przyczyniają się do tego, że w lutym 1815 dotychczasowy ostry krytyk jego, rektor Śniadecki, powołuje go na zastępcę profesora historji powszechnej w Uniwersytecie Wileńskim. Był to moment, gdy Wilno stało w przededniu żywego ruchu umysłowego, gdy uniwersytet pod światłą kuratorją ks. Adama Czartoryskiego dochodził do najwyższego stopnia rozwoju. Młody uczony wstępnym bojem zdobywa sobie popularność i zainteresowanie wśród uczniów. Po suchym rutyniście, jakim był jego poprzednik prof. Tomasz Hussarzewski, przychodził do młodzieży uczony nowoczesny, obdarzony umysłem krytycznym i przenikliwym, dużym zapałem i darem słowa. Wykłady historji powszechnej rozszerzał stale dodatkowemi wykładami numizmatyki, heraldyki i dyplomatyki. Przystępny i serdeczny dla uczniów, stał się niebawem umiłowanym profesorem wśród młodzieży, zwłaszcza tej, która skupiała się w patrjotycznych stowarzyszeniach filomackich. Lecz choć młodzież tę umiał zagrzewać swą erudycją i zapałem, w organizacjach patrjotycznych udziału nie brał—był urodzonym teoretykiem, nie działaczem. Natomiast żywy udział brał w umysłowem życiu Wilna — przyczynił się do powstania liberalnego *Tygodnika Wileńskiego*, gdzie drukował cały szereg rozpraw i artykułów z historji Polski średniowiecznej, przyczynków do dziejów prawodawstwa polskiego, upartych choć niezbyt fortunnych spostrzeżeń językoznawczych. Nie zaniedbywał też prac naukowych syntetycznych, kończył druk jedynych w swoim rodzaju *Badań starożytności we względzie geografji* (Wilno 1818), oraz wydał opracowywaną oddawna *Historykę* (Wilno 1815), w której rozwinął własny systemat historjozoficzny. Dzieło to, które przyczyniło się do uznania Lelewela za ojca historjografji nowoczesnej, dawało kompletny system metod naukowych, umożliwiających poznawanie powikłanych procesów życia ludzkiego. Hołduje w niem Lelewel panującemu w historjografji oświecenia pragmatyzmowi, lecz wprowadza konieczność głębszego wniknięcia w zjawiska historyczne i genetycznego pojmowania dziejów. Zawodowi historyka stawia duże wymagania: „aby przy pracowitości niezmordowanej, przy sposobności, jakiej mu natura udzieliła, starał się o naukowe usposobienie, do filozoficznych działań wprawy nabierał, krytyczne zdolności doskonalił i dokładał usilności, aby mógł się osobiście poszczycić charakterem tym, jaki sama historja mieć powinna".

Przerwawszy swą pracę pedagogiczną w Wilnie w 1819 r., został Lelewel adjunktem Bibljoteki Uniwersyteckiej i profesorem bibljografji w Warszawie, aby niebawem wykorzystać te zajęcia dla pracy naukowej, wydając kapitalne dzieło: *Bibljograficznych ksiąg dwoje* (Warszawa 1823 — 1826) w dwóch obszernych tomach.

Niezmordowany w swej pracowitości, rozszerzając wciąż zakres swych zainteresowań, opracowuje jednocześnie *Dzieje starożytne Indyj* (Warszawa 1820), daje do *Pamiętnika Warszawskiego* krótki rys „Panowania króla Stanisława Augusta" (1818), w rozbiorze *Pielgrzyma z Dobromilu* (1819) prowadzi badania nad stanem wiejskim w Polsce i w myśl haseł oświecenia żąda podniesienia oświaty ludu; wyczuwając aktualność tematu, kreśli w 1820 r. oryginalnie, sposobem synchronistycznym *Parallelę Hiszpanji z Polską w XVI, XVII i XVIII wieku*, gdzie w śmiałem zestawieniu losów dwu wielkich narodów, usiłuje wejść wgłąb zjawisk zbiorowych i wykryć poza faktami indywidualnemi jednego narodu — działające jakby w ukryciu siły zbiorowe, ogólne. Dzięki tej rozprawie zyskuje coraz więcej popularności wśród liberałów i patrjotów. Jednocześnie utrwala się jego imię jako wielkiego uczonego o europejskiem znaczeniu. Mimo pierwotnej niechęci do nowatora, Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, przyjmuje go w 1821 r. na członka czynnego, Uniwersytet Krakowski mianuje go doktorem filozofji, Uniwersytet Warszawski powierza mu wykłady historji powszechnej, wreszcie Uniwersytet Wileński przyznaje mu stopień profesora zwyczajnego i powołuje na katedrę historji powszechnej.

Skromny i niełaknący rozgłośnej sławy uczony zdziwiony był entuzjazmem, z jakim przyjęła go młodzież wileńska pod koniec 1821 r. Adam Mickiewicz w imieniu kolegów uniwersyteckich w podniosłym wierszu witał Lelewela, czcząc w nim uczonego o szerokich poglądach europejskich i patryotę Polaka. Publiczność tłumnie zalega jego wykłady. Wielki historyk mimo woli staje się bożyszczem dla młodzieży wileńskiej, która szukając nowych dróg dla zaspokojenia swych aspiracyj, pragnie w nauce i doskonaleniu wewnętrznem znaleźć środki dla zaspokojenia swych dążeń ideowych i narodowych. Obok młodego uczonego filozofa Gołuchowskiego ma Lelewel olbrzymi wpływ na młodzież filomatyczną i na kształtowanie jej ideologji. To też gdy około r. 1824 zaczyna się w całem Królestwie Polskiem okres represyj politycznych, gdy Nowosilcow zwraca baczną uwagę na młodzież szkolną i uniwersytecką jako źródło niebezpiecznych nastrojów, gdy wskutek tego nadchodzą śledztwa i aresztowania wśród studentów wileńskich, ukazem z 14. VIII. 1824 zostaje usunięty z katedry uniwersyteckiej ten, który tę młodzież urabiał — usunięty zostaje Lelewel z zakazem przebywania w Wilnie.

W Warszawie, gdzie pozostawał w złych warunkach materjalnych, bez pracy zarobkowej, od ostatecznego rozgoryczenia chroni Lelewela zamiłowanie do pracy naukowej — pisze wiele, jest czynnym współpracownikiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, pogłębia swe badania nad historją starożytną, nad bibljografją, nad średniowieczem polskiem, rozwija swe studja nad prawodawstwem i probuje swych sił w dziedzinie numizmatyki (*Wiadomości o starych pieniądzach w Trzebuniu wykopanych*, 1826). Jednak sama praca naukowa nie może mu już wystarczyć. Wrażenia przeżyć wileńskich, wpływ wśród młodzieży, popularność w kołach liberalnych — wszystko to zbliża Lelewela do terenu politycznego. W 1828 r. zdobywa mandat poselski, w komisjach sejmowych opracowuje projekty do praw, aby w swem głośnem wystąpieniu na sejmie 1830 r. stanąć w obronie kodeksu napoleońskiego, wiążąc się w ten sposób z obozem liberalnym. To pierwsze na arenie politycznej wystąpienie Lelewela kryło w zarodku te wszystkie znamiona, które w dalszych jego pracach wystąpią z całą wyrazistością: duży zapas wiedzy, argumentacja naukowa, podejście do zagadnień polityki bieżącej od strony wykładu uniwersyteckiego, od doktryny, wypracowanej w ciszy gabinetu, duży temperament, lecz zupełny brak zmysłu politycznego. Popularność wynosiła go wbrew jego woli, wbrew istotnemu powołaniu i możliwościom na teren prac konspiracyjno - patryotycznych, czyniąc z niego szermierza młodej armji. Obóz spiskujący w przededniu wielkich wydarzeń 1830 r., nie znajdując oparcia w jakiejś klasie społecznej, rewolucyjnej, nie mając ludzi, którzy by umieli wziąć na siebie pełnię odpowiedzialności — szuka jednostek popularnych, szuka aprobaty dla swych planów. Tu tkwi źródło tragicznego nieporozumienia, jakiem były narady i beznadziejne rozmowy spiskowców z Lelewelem w przededniu wybuchu 29. XI. 1830, którego on nie potępiał ale i doń nie zachęcał, nie mogąc zdobyć się na żadną jasną decyzję. Takim pozostanie Lelewel i po wybuchu powstania, godząc stanowisko prezesa rewolucyjnego Klubu Patryotycznego ze stanowiskiem Rządu Narodowego i posła w sejmie, namiętnie przez Klub zwalczanego. Stara się moderować jednych i rewolucjonizować drugich, w gruncie rzeczy nie ma jasnej świadomości swych zadań i celów, będzie przez jednych i drugich wygrywany oraz gnany przez wypadki, które przechodziły obok niego. Gdy w sierpniu 1831 po ostrych starciach, po głębokich zawodach, pod wpływem niepowodzeń, prawie że w obliczu klęski, dojrzeje w nim wreszcie myśl polityczna i rewolucyjna — będzie już za późno. W nocie swej, która stanowić miała jego credo polityczne, w przeciwieństwie do swych kolegów z Rządu Narodowego — Czartoryskiego przedewszystkiem — odrzucał Lelewel system dyplomatyczny, opierający się o pomoc zagranicy, pragnął natomiast pomnożenia własnych sił narodu i reform społecznych, jako zaczynu nowych sił rewolucyjno-narodowych. Oświadczenie to, wyrażające po raz pierwszy jasno myśl polityczną Lelewela, nie łączyło się jednak ani z dotychczasowem jego postępowaniem, z lękliwem i bardzo kompromisowem wysuwaniem sprawy włościańskiej w Sejmie, ani z jego bezbarwną działalnością w rządzie, ani wreszcie z grozą sytuacji, wiodącej w ciągu dni następnych poprzez tragiczną noc 15. VIII. i niepowodzenia wojskowe, do kapitulacji stolicy i zakończenia wojny.

Rozpoczynał się dla tysiącznych rzesz polskich nowy okres, okres tułaczki i poniewierki. Lelewel opuszczał kraj i rodzinę z tłomoczkiem na plecach, pełen smutku i goryczy, z poczuciem niespełnionego czynu, obarczony zarzutami, płynącemi ze wszystkich stron: podejrzany przez jednych o podburzanie ludu przeciw rządowi i udział w krwawych wypadkach nocy sierpniowej, pomawiany przez innych o niedołęstwo i bezczynność, o konszachty z partją arystokratyczną, o obojętność podczas wojny, w ciągu której „księgi uczone i stare monety czas mu zabierać miały". Taką obciążony opinją, przybył Lelewel do Paryża 29. X. 1831. Przejście przez Niemcy, gdzie ucieczka zwyciężonych rozbitków zamieniła się w pochód tryumfalny wielkiej idei narodowości, utwierdziło jego wiarę w moc i potęgę ludów i konieczność współpracy wszystkich ludów w dążeniach rewolucyjnych. To też przybywszy do Francji, gdzie grunt w kołach liberalnych i radykalnych przygotowali mu Chodźko i Podczaszyński nawiązuje stosunki z Buchezem i Raspailem, zespala się serdeczną przyjaźnią z Lafayettem i odrazu zyskuje w emigracji demokratycznej wielką popularność. Rozpowszechniała się wśród tułactwa wiara w jego wielkie stosunki z ludami i przekonanie, że w przewidywanym ruchu rewolucyjnym w Europie osoba jego będzie niezbędną. Jako prezes Komitetu Narodowego Emigracji Polskiej stara się Lelewel w pierwszym rzędzie zainteresować cudzoziemców sprawą polską, jest niezmordowany w układaniu manifestów do Włochów, Niemców, Czechów i Rosjan. przemawia do sumienia narodów, pobudza Lafayetta do upominania się o sprawę polską. Za tę gorliwą a niezbyt dla Francji Ludwika Filipa dogodną działalność został przez policję francuską usunięty najprzód z Paryża, potem wogóle z Francji. Po półrocznej wędrówce ku granicom Belgji, entuzjastycznie przyjmowany przez ludność, zapraszany

przez uczonych francuskich i belgijskich, przybył we wrześniu 1833 r. do Brukseli i osiadł w skromnej izbie, która stać się miała jego trzydziestoletnią odtąd siedzibą. Ma w opinji powszechnej urok męczennika i sławę wielkiego uczonego, w rzeczywistości jest pełen goryczy, bez żadnych środków do życia, z ciężarem długów, które nań zwaliło przewodniczenie w Komitecie Emigracyjnym, z brzemieniem potwarzy, która go czyniła złodziejem mienia narodowego. Myśli odrazu o zorganizowaniu sobie życia, żeby tylko nie być zdanym na łaskę rządowego zasiłku emigranckiego, którego z dumą nie przyjmuje. Odżywają w nim namiętności badacza. Pociąga go w pierwszym rzędzie numizmatyka, która w ciężkiej atmosferze emigracyjnej staje się dla niego kojącą rozrywką i źródłem skromnego zarobku dla zaspokojenia potrzeb codziennych, które nie były wielkie: „na schnący kawałek chleba, na papier, na atrament, na świeczkę“ i na opłacenie długu za druk pism emigracyjnych. Od nawiedzających go i szukających u niego rad emigrantów ucieka do bibljotek i gabinetów numizmatycznych, by wśród starych monet i medali, sztychów i map szukać ukojenia. Przerzucając „cacka“ opisuje monety z całej Europy i odkrywa filjacje wszelkich typów numizmatycznych. Tak powstaje w r. 1835 *Numismatique du moyen âge.* Puszczony w postaci broszury wyjątek p. t. *Observations sur le type de moyen âge de la monnaie de Pays Bas* (Bruksela 1835) stał się podręcznikiem i przewodnikiem dla numizmatyków belgijskich, a Lelewela postawił w rzędzie najbieglejszych numizmatyków zachodnich.

Drugim terenem rozległym badań Lelewela stała się geografja, traktowana przez niego jako nauka pomocnicza historji. W szeregu rozpraw, rozpoczętych jeszcze w kraju, badał pojęcia terytorjalne i naukowe średniowiecza, przystosowywał je do rzeczywistości, by wreszcie w pięciotomowem dziele p. t. *Géographie du moyen âge* (Bruksela 1852) rozciągnąć badania nad kartografją nietylko pisarzy europejskich, ale też Arabów, Żydów, Indów i Chińczyków, dając tym sposobem nieprzebraną kopalnię wiadomości dla specjalistów. Pisana ciężko i niejasno, szwankująca pod względem budowy wewnętrznej, praca ta nie zyskała takiego rozpowszechnienia w świecie naukowym, na jakieby może zasługiwała. Albowiem niektóre jej rezultaty, jak wykrycie wpływu merkantylnej polityki Kartagińczyków na wiedzę geograficzną Greków, czy uwydatnienie geograficznych zasług Cezara, Augusta i Agryppy, pozostają do dnia dzisiejszego zdobyczami o wielkiej doniosłości naukowej.

Te numizmatyczne i geograficzne, samodzielne i żmudne prace Lelewela przyniosły jemu samemu wiele zadowolenia intelektualnego, pozwalały na jakie takie utrzymanie, otwierały nawet możliwości praktycznego zastosowania i zdobycia stałego wynagrodzenia. Lecz wszelkie propozycje ze strony rządu i uczonych belgijskich, aby katalogował zbiory numizmatyczne, uczestniczył w zjazdach specjalistów lub objął wykłady na uniwersytetach, spotykają się ze stałą odmową Lelewela. Z doktrynerskim uporem skazuje się na niedostatek w przeświadczeniu, że jakiekolwiek zajęcie stałe oderwałoby go od spraw ściśle polskich, od działalności emigracyjnej, którą uważał za największy obowiązek tułacza, „wynikający z tego że jest Polakiem, człowiekiem“. Mimo że oddalony od centrum emigracji polskiej jest Lelewel ośrodkiem całej demokratycznej jej części. Skupiają się koło niego wszyscy przeciwnicy partji arystokratycznej ks. Adama Czartoryskiego, a nie związani z Towarzystwem Demokratycznem Polskiem. W jego skromnej izdebce brukselskiej pełno zawsze rodaków, przybywających po wskazówki, nierzadko i po zasiłek pieniężny, po pomoc. Emisarjusze, jadący do Polski, przybywający do niego po instrukcje, aby zresztą nigdy nie otrzymać jasnych dyrektyw. Konspiratorzy rewolucyjni nie wyobrażają sobie żadnej akcji politycznej, żadnej władzy naczelnej, żadnego kierownictwa ruchu — bez udziału Lelewela. Dawni uczniowie: Chodźko, Pietkiewicz, dawni koledzy sejmowi Zwierkowski, Antoni Ostrowski, dr. Hłuszniewicz są z nim w stałym kontakcie, wciągają go do organizacyj politycznych, pobudzają do czynu. Lelewel myśli o zorganizowaniu emigracji demokratycznej jako władzy naczelnej dla kraju. Przez Młodą Polskę, przez Konfederację Narodu Polskiego pracuje nad zjednoczeniem, na zasadach narodowości, istotnego demokratyzmu i republikanizmu, w przeciwieństwie do zbyt kosmopolitycznego Towarzystwa Demokratycznego, któremu nie ufa. Od 1834 r. nie chce już liczyć na żadną pomoc obcą, pragnie wzmocnienia i pomnożenia własnych sił narodu poprzez rozległe reformy społeczne. Ostro przeciwstawia się wszelkiemu rozpraszaniu sił narodowych w legjach cudzoziemskich w Portugalji, w Algierze czy w 1839 r. w Belgji.

Ta akcja Lelewela na emigracji znajdowała naukowe uzasadnienie w równolegle prowadzonych studjach historycznych. Polityk wpływał tu na uczonego, a badacz naukowy urabiał sądy działacza. W ten sposób splatała się jego działalność polityczna z jego pracą naukową. W swej *Polsce odradzającej się czyli dziejach polskich od r. 1795* (Bruksela 1836), w popularnych, wciąż dopełnianych *Dziejach Polski potocznym sposobem opowiedzianych* wypowiada Lelewel sąd, że nieodzownym warunkiem odzyskania Polski jest wyzwolenie ludu. Główny błąd kierowników ostatniego powstania polegał na tem, że nie stosowali się do tych zasad: „zawiedli lud, hamowali jego poświęcenia, odrętwiali jego siły“. W przeciwieństwie do historjografji oświecenia, opierającej się na wierze w postęp ludzkości, Lelewel dzisiejszemu rozstrojowi cywilizacji przeciwstawia wyidealizowaną przeszłość narodu, opartego na instytucjach republikańskich i demokratycznych, na ustroju gminowładczym, na poczuciu obywatelskiem i braterstwie szlachty z ludem. Jeszcze wyraźniej wypowiedział te myśli w skreślonych pierwotnie po francusku *Uwagach nad dziejami Polski i jej ludu* (1844), gdzie rozwinął swą teorję o pochodzeniu szlachty-lechitów i stwierdził na podstawie swoistej interpretacji kronik, że stan kmiecy od początku istnienia społeczeństwa polskiego był wolny i w rozwoju dziejów dążył do równości gminnej. (*Stracone obywatelstwo stanu kmiecego*, 1846). Poglądy te nie ostały się w nauce dzisiejszej, lecz odegrały wielką rolę w kształtowaniu pokolenia powstaniowego, urabiały jego wiarę w odzyskanie Polski, rozwiązywały palące zagadnienia doby bieżącej, wykazując, że „nie inaczej naród polski powstanie i umocuje się tylko przez lud wiejski“, przez braterstwo szlachty z chłopami.

Takie myśli, które przedostawały się do kraju rozgłaszał Lelewel, skupiając emigrację na zasadach demokratycznych. Po wielu trudach udaje się wreszcie doprowadzić do formalnego zjednoczenia: w 1843 r. staje Komitet Narodowy Polski w Brukseli pod przewodnictwem Lelewela, potem Stanisława Worcla. Brak wewnętrznej spoistości nie dał mu jednak rozwinąć się tak, jak o tem marzył jego twórca. Na skutek wypadków 1846 r. Zjednoczenie ulega rozbiciu, Komitet rozwiązuje się, a członkowie jego wchodzą przeważnie do Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, które silne organizacyjnie i zwarte ideowo, przyciągać umiało szerokie rzesze emigranckie. Z goryczą w sercu, z osadem głębokiego rozczarowania wchodzi tu i Lelewel. Rok 1848 budzi go znów z odrętwienia i roznieca w nim nadzieję szybkiego odzyskania ojczyzny. Do przyjaciela swego W. Zwierkowskiego, który przedarł się do Galicji, pisze z entuzjazmem, że „niedługo spotkamy się w kraju“. Porywa go gorączka dni wiosny ludów, do Frankfurtu wysyła zaufanego Lublinera, urabia opinję Czechów i Słowaków, ostrzegając w swej nocie, przeznaczonej na Zjazd Praski, przed panslawizmem carskim, stara się wejść w kontakt z rewolucjonistami francuskimi, Rządowi Tymczasowemu, Lamartinowi wyrzuca obojętność w stosunku do sprawy polskiej, przewidując groźne konsekwencje takiego stanu rzeczy dla republiki francuskiej. Nie wierzy w skuteczność tworzenia oddziałów polskich zagranicą i walk poza granicami Polski. Przeżywa znów okres strasznych rozczarowań, by wreszcie po upadku nadziei polskich, opaść na duchu i czynniejszego udziału w pracach politycznych zaniechać. Czuje się starym i w życiu politycznem już niepotrzebnym. Znękany i strudzony wraca jeszcze do prac naukowych, do badań analitycznych zwłaszcza nad średniowieczem polskiem. Odsuwa się od ludzi, czuje się dobrze tylko wśród książek, lata całe gromadzonych i wśród swych szpargałów. Marzy jeszcze na starość o opracowaniu wielotomowej historji powszechnej, do której napisania czuł się zdolnym, a tymczasem „wychodzą tylko dorywcze różnych czasów trudy... na co lepszego zrywać się i wysilać już nie czas“ — pisał w swej spowiedzi, wydając u Żupańskiego w Poznaniu owoc tych wieloletnich trudów, kilkunastotomową *Polskę, dzieje i rzeczy jej.* Zdumiewa ona rozległością podjętych tematów: historja powszechna i polska, starożytna, średniowieczna i nowożytna, chronologja i geografja, numizmatyka i prawodawstwo, dzieje kultury i religji, dyplomatyka i etnografja, wszystko to znajdujemy w spuściźnie tego wielkiego badacza, który swój pracowity „zdziełczy“ żywot rozpoczął w zaraniu lat młodzieńczych, nie przerywał go mimo różnych kolei losu, a ciągnął go nieprzerwanie aż do samej śmierci.

Umarł 29 maja 1861 r. w szpitalu paryskim, dokąd go tuż przed zgonem przewieźli wierni przyjaciele. Nie danem mu było doczekać szykującego się nowego wybuchu, ani przeżyć związanych z nim nadziei i nowych zawodów.

HELENA WIĘCKOWSKA

WIELKIE BIBLJOTEKARSKIE NIEPOROZUMIENIE

Ośmielam się tak określić — stosunek kulturalnego ogółu do bibljotekarstwa. Nieporozumienie polega na tem, że większość bibljotek doprawdy szczerym wysiłkiem doskonali swą służbę dla społeczeństwa i bibljotekarze wykazują przeważnie rzetelną, umiejętną pracę, a społeczeństwo z reguły nie docenia tych instytucyj, tej pracy, tego zawodu. Istnieją wprawdzie pamiętne wyjątki, ale one nie obalają zasadniczej postawy. Nieporozumienie to nazywam wielkiem, nie po to, aby dać wyraz sile subjektywnych przeżyć pracowników, którzy nie znajdują uznania; i nietylko dlatego, że stan ten ciągnie się nieustępliwie aż dotychczas i rozprzestrzenia się od bibljotecznej centrali powiatowej do miast uniwersyteckich; ale — choć pośrednio — w grę wchodzą tu sprawy wielkie: wszak bibljoteki naukowe stanowią główny warsztat organizacji i postępu nauki; bibljoteki powszechne, obok szkoły, a później zamiast szkoły, są głównem źródłem oświaty, a zatem moralnego dobrobytu.

Nagłówek niniejszego artykułu alarmuje. Lecz to alarm potrzebny, pożyteczny i — aktualny. W dniach 31 maja — 2 czerwca 1936 odbywa się w Warszawie IV Zjazd Bibljotekarzy Polskich. Protektorat nad nim raczył objąć Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Prof. Ignacy Mościcki. Przewodnictwo Komitetu Honorowego przyjął łaskawie Pan Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Prof. Wojciech Świętosławski. Te zaszczytne dla nas i ponad regułą stojące akty zapisuje Związek Bibljotekarzy z prawdziwą wdzięcznością, jako najwyższy przykład, jako wskazówkę dla innych instancyj, organizacyj, dla ogółu. Trzeba, aby tu — anno 1936 — nastąpił punkt zwrotny sprawy bibljotekarskiej w Polsce! Zwłaszcza, że owo nieporozumienie tem łatwiej usunąć, że jego źródłem nie jest niczyja zła wola, lecz niedostateczna wiedza, nieznajomość rzeczy. *Aby coś uznać, trzeba to znać.* Naszym obowiązkiem jest przeto dać do poznania tę rzeczywistość w momencie, w którym fakt Zjazdu rzuca promień zainteresowania na zacieniony zazwyczaj odcinek pracy kulturalnej.

Ważkie twierdzenie, że społeczeństwo nie docenia problemu bibljotecznego (w praktyce, nie w teorji), należałoby usprawiedliwić przytoczeniem licznych faktów szczegółowych. Czynią to inne obszerniejsze publikacje. Niezaspokojone potrzeby bibljotek naukowych omawia *Nauka Polska* i każdy rocznik *Przeglądu Bibljotecznego.* Stan „Bibljotek oświatowych w Polsce“ przedstawił świeżo Jan Muszkowski w artykule pod tym tytułem, zawartym w zbiorze *Książka w pracy oświatowej* (Warszawa 1935). Albo też łaskawy czytelnik zechce poprostu zagadnąć znajomego bibljotekarza: każdy opowie sporo szczegółów. Niniejszy szkic musi się zaś składać z linij syntetycznych. Wystarczy zatem choćby przypomnieć niepowodzenie niedawnej akcji w sprawie ustawy o bibljotekach gminnych; wystarczy wskazać, że niektóre wielkie miasta w Polsce do dziśiaj nie posiadają znaczniejszej bibljoteki publicznej (ogólnokształcącej); że żadna bibljoteka naukowa nie rozporządza funduszami zdolnemi do załatwienia corocznych najpilniejszych postulatów; że często przeszkadza ciasnota pomieszczenia; że grono bibljotekarzy jest niewystarczające liczbowo, źle uposażone materjalnie, i z powodu swej szczupłości rzadko przechodzi na wyższe stanowiska; że budżety różnych instytucyj pierwszy krok oszczędnościowy kierują stale na teren bibljotek, bo one „dużo kosztują, a nie dają żadnych dochodów“ (zapomina się o dochodzie moralnym). Co więcej — nieraz słyszymy utyskiwania na bibljotekę, iż nie posiada jakiegoś wydawnictwa albo udogodnienia technicznego, a powód tego stanu z łatwą niesłusznością przypisuje się bibljotekarzom. Choć tłumaczą oni warunki i efekty swej pracy w corocznych sprawozdaniach, publiczność ich nie czyta i nie orjentuje się, ile można osiągnąć przy zawsze ograniczonych środkach dyspozycyjnych. Ogół kulturalny nie zna bibljotek.

Jakże to? Przecież zwiedza się bibljotekę, t. j. *gmach*, lokal, sale czytelniane. Znana jest także czytelnikom, w pewnym chociaż zakresie, bibljoteka w sensie *księgozbioru;* wiedzą, co zawiera, a jeszcze lepiej pamiętają o jej brakach. Z tych dwóch tylko elementów składa się nieraz malutka całość: szafa z drukami, albo pokój wypełniony książkami. Połóż tam jakiś zeszyt z prymitywnie sporządzonym spisem książek, postaw panienkę lub emeryta, którzy je wydają czytającym — oto już niby „bibljoteka“. Ale w języku ścisłym to tylko: wypożyczalnia, tylko zarodek, jedna cząstka prawdziwej bibljoteki. Całkiem inaczej ona wygląda. Już zewnętrznie, lokalowo odcinają się w niej trzy różne oddziały: w jednym gromadzi się książki, czasopisma i inne objekty — to *magazyny;* w drugim oddziale — *biur wewnętrznych* — opracowuje się książki, przysposabiając je do użytkowania, które ma miejsce w trzeciej części, w *czytelniach i wypożyczalni.* Każdy dział stosuje odrębne metody pracy. Przy zakupnie dzieł bibljotekarz przegląda bibljografje i katalogi, czyta czasopisma recenzyjne, aby nie uchybić w doborze najwartościowszej literatury. Opracowywanie zbiorów ma swoją problematykę konstrukcyjną. Katalogowanie dokonywa się umiejętnie według osobnych kodeksów; wnika zawsze w treść dzieł naukowych. Szczególnej pieczołowitości i wiedzy wymagają zbiory specjalne, jak starodruki, rękopisy, mapy, ryciny, nuty. Tworzy się centralne katalogi innych zbiorów, powstają bibljografje, gromadzi się wyczerpującą dokumentację oznaczonych zagadnień, ukazywaną w wystawach stałych albo doraźnych. Cała ta praca wśród tysiąca szczegółów, które muszą być uważnie uporządkowane („kryminał tytułów, cyfr i formatów“, jak żartuje współczesny literat), praca wybitnie analityczna (i dlatego mało efektowna) musi się opierać o czujny krytycyzm, chroniący przed specjalną „chorobą bibljotekarską“, przed — drobiazgowością. To wszystko potrzebne, aby pełnić szczytną funkcję pośrednictwa między światem ksiąg a czytelnikiem. I tu bibljotekarz przybiera czynną postawę. Udziela porad bibljograficznych o piśmiennictwie, które wpierw sam opanował. Wygłasza wykłady o korzystaniu ze zbiorów. Zwłaszcza bibljotekom ogólnokształcącym przypadają zadania wyraźnie *pedagogiczne*, związane z psychologją czytelnictwa. Bibljoteka naukowa zaś, poza bezpośrednią służbą dla czytelników, jest *samodzielnym zakładem badawczym* w zakresie zagadnień dotyczących książki i wyniki swych prac bibljologicznych: opisowych i historycznych, rejestracyjnych i statystycznych, teoretycznych i konstrukcyjnych — ogłasza drukiem w serji własnych wydawnictw.

Oto pobieżny zarys wielkiej bibljoteki. Złożona organizacyjnie instytucja (muzeum gotowych wartości kulturalnych i wytwórnia nowych) — jest nietylko ilościowo, ale i jakościowo całkiem czemś innem, niż mała wypożyczalnia, która tylko w tym celu istnieje, by dawać lekturę, najczęściej beletrystyczną, rozrywkową; która — jest dla *lektury.* Bibljoteka wyższego typu uważa czytelnictwo za środek rozwoju nauki albo oświaty: działa *przez lekturę*, i dlatego współpracuje z czytelnikiem. Ta *zasadnicza odmienność zadań* wymaga tu metody, jakiej niema i nie potrzeba tam. Stwarza odrębną organizację pracy, której sobie postronni nie uświadamiają, choć wydaje im się inaczej.

Nerwem wielkiego bibljotekarskiego nieporozumienia jest nie: obcość kulturalnego ogółu dla tych spraw, ale właśnie: jego fałszywe mniemanie, że zna pracę bibljotekarską. „Książki wydawać czytającym — każdy potrafi“, ta popularna porcja goryczy dostaje się nawet uniwersyteckiemu bibljotekarzowi. Wszak do początków XIX wieku bibljotekarstwo było przeważnie *zajęciem pobocznem*, najpierw duchownych, później profesorów, docentów, wogóle „ludzi inteligentnych“. A dzisiaj? Muszkowski (w cytowanej pracy) naliczył w Polsce ok. 35.000 księgozbiorów, a Związek Bibljotekarzy skupia ok. 500 świadomych swego zawodu członków. Któż prowadzi inne bibljoteki? — najczęściej usposobieni społecznie ludzie dobrej woli. Ależ jakie to bibljoteki? — ponad 23.000 w szkołach powszechnych; ok. 9.000 oświatowych i t. d., a wśród tych oświatowych ok. 28% liczy po 25 — 100 tomów, ok. 23% po 101 — 200 tomów, ok. 23% po 201 — 500 tomów, 24% po 501—5000 tomów. Daje to w sumie ok. 98% małych bibljoteczek. I nie baczy się, że przepaść dzieli taki księgozbiorek od uniwersyteckiej książnicy o pół miljonie tomów; nie uwzględnia się nawet tego, że — w całej skali przejść — gdzieś na wysokości 15.000 — 20.000 tomów zaczyna się dopiero prawdziwie bibljotekarska (metodyczna) sfera, w której rządzą inne kosmiczne prawa: *prawa wielkich liczb i precyzyjnych metod.* To paradoksalne zestawienie wyjaśnia, że teren bibljotekarstwa (aby użyć jednak tego łącznego pojęcia na oznaczenie całości) jest w większości swej opanowana przez „przygodnych bibljotekarzy“, przez ludzi, którzy kilka godzin w tygodniu poświęcają społecznictwu książki, czyli — poprostu i szczerze — przez *amatorstwo i dyletantyzm.* (Nawet nauczycieli szkół powszechnych nie szkoli się w bibljotekarstwie). Brak ustawy o bibljotekach gminnych sprawia to, że niema innego terenu tak krzewiącego dyletantyzm, jak bibljotekarstwo. Z pewnością, szlachetne to amatorstwo i Związkowi Bibljotekarzy przystoi owych niewątpliwie chętnych współpracowników przyciągać i — podciągać. Ale faktem jest, wielokrotnie stwierdzonym, że tu kryje się źródło fałszywych zapatrywań na prawdziwą pracę bibljotekarską. A przecież między „bibljotekarzem“,

przewidzianym według statutu obok prezesa, sekretarza i skarbnika w zarządzie lokalnego stowarzyszenia w małej mieścinie, i — mającym tenże tytuł, kustoszem bibljoteki uniwersyteckiej zachodzi taka sama kolosalna różnica, jak między domowym korepetytorem a profesorem szkoły akademickiej. Tytuł bibljotekarza nie jest jednak prawnie chroniony.

Z nieznajomości rzeczy, z przeoczenia istotnej różności przygodnego „bibljospołecznika" i zawodowego bibljotekarza — prowadzi jeden krok tylko do lekceważenia tego zawodu. Publiczność nie uznaje potrzeby kwalifikacyj i fachowego przygotowania pracowników bibljotek, a w konsekwencji przeczy się *odrębności i specjalizacji pracy zawodowej*. Bibljotekarze naukowi, z akademickiem wykształceniem, z egzaminem fachowym, nawet w zakładach najwyższego typu, stają w hierarchji służbowej urzędników administracyjnych, jak gdyby bibljotekarstwo było pewnego rodzaju biurowością. Przeocza się ich przygotowanie, ambicje i faktyczną twórczość naukową. Tymczasem zaś odcinając się od zwykłej administracji, zbliżają się oni charakterem swej pracy w zakładach naukowych najbardziej do archiwistów i muzeologów. Stanowią razem „kustodję zbiorów kultury". Ale ani archiwa ani muzea nie cierpią tyle powszechnego dyletantyzmu, występują czyściej w swej naturze i mają więcej samoistności. Istnieje wszak w Ministerstwie W. R. i O. P. osobny Wydział Archiwów Państwowych, działa Państwowa Rada Archiwalna i takaż Muzealna. Tej reprezentacji bibljoteki dotychczas nie zdobyły, zapewne dlatego, że nawet największe, uniwersyteckie, związane jako zakłady pomocnicze ze szkołami wyższemi — zostały ukryte w ich cieniu. Prawda, że bibljotekarstwo to nie jest służbą frontową. W odróżnieniu od teoretycznej bibljologji — stanowi ono naukę stosowaną, umiejętność przetwarzania dóbr kulturalnych. Nie stojąc na froncie nauki, pełni dlań służbę zaopatrzenia. Zważywszy jednak, że nawet największy wódz nie osiągnie zwycięstwa bez sprawnego zaopatrzenia armji, zgodzimy się, że i tę służbę należy doceniać. Nie — przeceniać. Zawód, który wypisał sobie w haśle: „*Aliis inserviendo consumor*", czyli w przekładzie Karola Estreichera (*Okruchy wierszowane*, Kraków 1928, s. 33): „Służbę dla braci ceną życia spłacam", — musiał nawyknąć do kontemplacyjnej skromności. Ale — gdy spotyka się wokoło z fałszywością mniemań (cenne wyjątki jeszcze raz w zakończeniu chcę podkreślić), gdy nie widzi poparcia instytucji i odczuwa brak uznania swojej pracy, gdy stwierdza z analogji, że jego byt materjalny ukształtował się gorzej, niż normalnie, stawia pytanie — dlaczego? dlaczego zachodzi to zasadnicze nieporozumienie? I wtedy nabiera mocy czynnik, ratujący przed najgroźniejszem poddaniem się, podszeptywanej zzewnątrz, sugestji małowartościowości: jest nim powszechne w zawodzie bibljotekarskim zamiłowanie do pracy wśród ksiąg.

ADAM ŁYSAKOWSKI

Z LITERATURY O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM

Niemiecka firma nakładowa w Essen (*Essener Verlagsanstalt*) podjęła wydanie w czterech tomach dzieł Józefa Piłsudskiego. Umiejętnego wyboru rzeczy interesujących obcego czytelnika dokonał dr. Wacław Lipiński, który również napisał wstęp, obejmujący doskonałą sylwetkę Marszałka i charakterystykę Jego pism; świetny przekład wyszedł z pod pióra konsula J. P. Kaczkowskiego. Wydawnictwo otrzymało staranną szatę zewnętrzną, o wiele pod względem papieru i układu graficznego przewyższającą skromną edycję polską *Pism, Mów i Rozkazów*.

Tom pierwszy zawiera *Moje pierwsze boje*, drugi *Rok 1920*, trzeci odczyty o *Kryzysie walki, o wojnie bałkańskiej, o powstaniu styczniowem, o wartości żołnierza Legjonów, o istocie dowodzenia i wodzu naczelnym;* czwarty obejmie *Mowy i Rozkazy*.

Czytelnika polskiego szczególnie mogą zainteresować przedmowy, napisane przez gen. Göringa, gen. v. Blomberga i gen. v. Rabenau, Göring, który znał osobiście Marszałka i „był pod pełnem wrażeniem Jego osobowości", w entuzjastycznych słowach wyraża się o wielkości Piłsudskiego. Podnosi Jego rolę w dziedzinie porozumienia polsko-niemieckiego „dla dobra obu narodów i dla powszechnego pokoju". „Narody powinny zapoznawać się z biegiem myśli mężów stanu i wodzów swych sąsiadów, ponieważ znajomość różnic, pochodzących z narodowych właściwości i konieczności jest warunkiem ich wyrównania". Niemiecka edycja dzieł Piłsudskiego jest, zdaniem Göringa — „czemś więcej niż przyjacielskim gestem: ma szerzyć wiadomości oraz znajomość Polski, naszego sąsiada".

Gen. v. Blomberg podkreśla w swej przedmowie wartość fachową *Roku 1920*, które to dzieło przyda się nietylko do należytej oceny tej kampanji decydującej o losach Europy, a szczególnie Niemiec, ale nadto zawiera „moc wartościowych doświadczeń" i przewidujących na przyszłość wskazań.

Przedmowa gen. v. Rabenau do trzeciego tomu jest entuzjastyczną apologją Piłsudskiego, jako wodza. „Bóg złożył w jego piersi siłę i moc rozkazywania, oraz miłość mocy i siły. Ale był on również synem wolności. I dla niej szukał mocy... W konfliktach stąd wynikających miał jedną gwiazdę przewodnią — honor. I dlatego wołał surowo: „Strzeżcie się, panowie, dotykać poczucia honoru". I zdaje się, że słyszymy Scharnhorsta czy Gneisenau, gdy Piłsudski mówi, że honor jest bogiem żołnierza... Prawdziwym wodzem jest tylko ten, kto ma duszę wielką. Józef Piłsudski miał ją. Jego życie było pełne bohaterstwa, jak *Apassionata* Beethovena, o której powiedziano, że jest się zawsze dzielniejszym, gdy się jej słucha. Jest się mężniejszym, gdy się myśli o słowach i czynach Józefa Piłsudskiego".

Opinje tych fachowych militarystów niemieckich pozostaną w literaturze wymownem stwierdzeniem tego potężnego wpływu, jaki nawet na obcych wywierała potężna indywidualność Marszałka.

*

Dokumentów w ścisłem tego słowa znaczeniu, dotyczących Józefa Piłsudskiego, ukazało się dotychczas niewiele. Czasopismo *Niepodległość*, poświęcone dziejom polskich walk wyzwoleńczych po r. 1863-im, oprócz licznych rozpraw, relacyj i pamiętników, ważnych dla wyjaśnienia tła epoki, w której żył i działał Piłsudski, — rozpoczęło od zeszytu 30-go druk Jego listów z archiwum Polskiej Partji Socjalistycznej. Zużytkowane częściowo w monografji Wł. Pobóg-Malinowskiego, wprowadzają w szczegóły niezmordowanej pracy partyjnej Piłsudskiego, wymownie obrazują wzajemne stosunki członków organizacji, troski i kłopoty związane z wydawnictwem i t. p. Z tych poufnych, nieprzeznaczonych do druku wynurzeń i instrukcyj, okazuje się jak doniosłą i coraz bardziej kierowniczą rolę w partji stopniowo zaczął odgrywać Piłsudski, jak żaden szczegół nie uchodził Jego uwagi. Pisane w sposób ostrożny z obawy, by nie dostały się w niepowołane ręce, są teraz zrozumiałe dzięki wyczerpującym komentarzom opracowanym przez Wł. Pobóg-Malinowskiego i Leona Wasilewskiego. Ogłoszone dotychczas w *Niepodległości* listy pochodzą z lat 1893—95 i były adresowane do redakcji *Przedświtu* w Londynie, do Stanisława Wojciechowskiego, Aleksandra Sulkiewicza i Związku Zagranicznego Socjalistów polskich.

Artykuł Wł. Pobóg-Malinowskiego *Józef Piłsudski jako pisarz (Nowa Książka* z 1935 z. 9), poza ciekawie ujętą charakterystyką działalności pisarskiej Marszałka, podaje nieznaną dotychczas wiadomość o wydawanej przez Piłsudskiego wraz z bratem Bronisławem rękopiśmiennej gazetce p. t. *Gołąb Zułowski;* zachowało się 46 „numerów" z okresu od 10 stycznia do 24 lutego 1880 r., zawierających oprócz wyjątków z patrjotycznych utworów Mickiewicza, Niemcewicza, „powieści", „komedje", opisy bitew, życiorysy sławnych ludzi. „W pracy tej — zasługującej na osobne studjum—odzwierciadlała się przesiąknięta patrjotyzmem atmosfera, w jakiej żył, odzywały się młodzieńcze tęsknoty i wierzenia, odbijały się, dźwięczały wrażenia z przeczytanych książek; spotykamy się tu często z echami dalekiej wojny w Chili i Boliwji, mamy ślady zatargu z „Moskalami", mamy „nowiny" o ruchu rewolucyjnym w Rosji z zamachami na cara, wreszcie — reminiscencje z powieści dla młodzieży, przedewszystkiem Coopera".

W *Kalendarzu Ilustrowanego Kurjera Codziennego* na r. 1936-ty ogłoszone zostały nieznane raporty policji austrjackiej o odczytach Józefa Piłsudskiego, mianych w Krakowie: 9 lipca 1910 r. na temat „Podstawowe zasady taktyki rewolucyjnej"; 2 lutego 1911 r. p. t. „W przeddzień rewolucji w 1905 r."; 1 grudnia 1911 r. o powstaniu listopadowem. Mimo wielu niedokładności raporty te charakteryzują zasadniczy stosunek Piłsudskiego do sprawy polskiej. W przeciwieństwie do innych działaczy tej epoki, Piłsudski nie rozwijał koncepcji austro-polskiej, lecz wzywał do rozniecania w masach ducha buntu przeciw niewoli i występował jako głosiciel wiary we własne siły. Hasła, że „jedynie miecz waży dziś coś na szali narodów", że sile zasadniczej wroga można przeciwstawić tylko siłę zbrojną ludu polskiego, zostały dobitnie sformułowane w powyższych odczytach.

Kwartalnik *Kronika Warszawy* dał w zeszycie 4-ym starannie zestawioną kronikę działalności Marszałka w Warszawie, od pierwszych lat pracy partyjnej na terenie stolicy aż do chwili zgonu. Niepozbawione wartości są również szczegóły o pobytach Piłsudskiego w Grodnie, podane w dziejach tego miasta opracowanych przez Kółko historyczne przy 1-em Gimnazjum Koedukacyjnem w Grodnie (Grodno, 1936. Księgarnia E. Iberskiego).

Więzienne drogi Komendanta, od 23 lipca 1917 r. do 10 listopada 1918 r. przedstawiła M. J. Wielopolska (Warszawa 1935. Główna Księgarnia Wojskowa) w szeregu reportaży z Gdańska, Szpandawy, Wesel i Magdeburga. Opis gmachów więziennych i fortec, rozmowy ze świadkami i uczestnikami ówczesnych przeżyć Piłsudskiego złożyły się na zajmującą opowieść, zbytnio może tylko zabarwioną dygresjami natury uczuciowej i polemicznej.

Kalendarz skarbowy na r. 1936-ty w pomieszczonym na wstępie życiorysie Marszałka podaje fascimile dokumentów urzędu skarbowego z 1924 i 1925 r., wymownie ilustrujących stan zamożności Komendanta. Ogólna wartość majątku, ulegającego opodatkowaniu, oszacowana została na łączną kwotę zł. 34.510 gr. 21; nie do wiary jest przytem fakt, że ówczesne władze skarbowe dokonały niesłusznego wymiaru podatków i wszczęły nawet kroki egzekucyjne! Urządzenie mieszkania w Sulejówku określono jako „przeciętne" i „małe", groszowej wartości użytkowej; w całym domu było tylko trzy przedmioty złote: zegarek, pierścień i *jedna* spinka...

Przebieg choroby i zgon Marszałka w oświetleniu lekarskiem opisał ppłk. dr. Stefan Mozołowski w *Lekarzu wojskowym* (t. XXXVI Nr. 5). Zestawiając wyniki badania pośmiertnego z przebiegiem choroby, dr. Mozołowski przyznaje słuszność intuicji Komendanta, która kazała Mu odnosić się wstrzemięźliwie do badań t. zw. dodatkowych i do nieco nawet radykalniejszych zabiegów; „wszelkie próby radykalniejszego leczenia mogłyby tylko zaszkodzić i przyśpieszyć zgon".

*

W literaturze pamiętnikarskiej, bezpośrednio lub pośrednio dotyczącej działalności Marszałka, na pierwszem miejscu należy postawić wartościowy pod względem faktycznym fragment pamiętników Leona Wasilewskiego *Józef Piłsudski jakim Go znałem* (Warszawa 1935. Tow. wyd. „Rój"). Od pierwszego spotkania z „towarzyszem Wiktorem" w Petersburgu w 1896 r., poprzez ciężkie perypetje życia emigracyjnego w Zurychu, Londynie i Krakowie, poprzez okres stopniowego dojrzewania ruchu rewolucyjnego w latach 1904 — 1906 snuje się żywe opowiadanie naocznego świadka i uczestnika zdarzeń. Widzimy jak nieznany, bezimienny konspirator wyrasta ponad otaczający Go zastęp towarzyszy i staje się twórcą i inspiratorem dążeń wyzwoleńczych. Pełne napięcia są epizody z czasów Wielkiej Wojny i ówczesnych działań politycznych. Do najcenniejszych należą wyjątki z listów i instrukcyj Piłsudskiego do Wasilewskiego, jako delegata do Komitetu Narodowego w Paryżu podczas konferencji pokojowej; pozwalają bowiem poznać bliżej i zrozumieć politykę Komendanta, zwłaszcza w stosunku do spraw litewskich, ukraińskich i bałtyckich.

Strzępy meldunków Sławoja Składkowskiego (Warszawa, 1936. Instytut Badania Najnowszej Historji Polski) to przedewszystkiem poufne zwierzenia najwierniejszego serca. Atmosfera uczuć najbliższego otoczenia Komendanta, obrazki z życia codziennego, nieraz o charakterze anegdotycznym, odtworzone tutaj zostały z wielką bezpośredniością i szczerym sentymentem.

Pamiętniki Michała Sokolnickiego *Czternaście lat* (Warszawa 1936. Instytut Badania Najnowszej Historji Polski) obejmują okres 1898 — 1913. Z Piłsudskim poznał się autor w Zakopanem w 1905 r. Otrzymał wtedy od niego wiadomość o przygotowaniach do utworzenia organizacji wojskowej, niebawem zaś poufną misję agitacji w tym kierunku wśród społeczeństwa. Szczegóły o stosunkach Piłsudskiego z Żeromskim i Wyspiańskim, o książce Sokolnickiego *Sprawa armji polskiej*, napisanej na żądanie Piłsudskiego, metodach jego pracy i wpływie, jaki wywierał, stanowią wartościowy materjał do przedwojennego okresu działalności Marszałka.

Cennym przyczynkiem do dziejów końcowych tygodni r. 1918-go jest wspomnienie Artura Śliwińskiego p. t. *Moi kandydaci na premjera* (*Droga* z 1935 r. Nr. 11). Autor opowiada o wysuniętej przez siebie kandydaturze na premjera po Jędrzeju Moraczewskim prof. Władysława Smoleńskiego i przytacza niepozbawioną humoru rozmowę mianą z nim przez Komendanta. Z werwą skreślone opowiadanie Artura Śliwińskiego podaje świetnie uchwycone cechy postępowania Piłsudskiego w momentach doniosłych decyzyj.

Szereg fragmentów o charakterze wspomnień osobistych drukowało czasopismo *Naród i Wojsko* w 1935 r. Do bardziej wartościowych należą: w nr. 13-tym Mieczysława Birnbauma o bankiecie wydanym z okazji zjazdu b. formacyj wschodnich 24 czarwca 1921 r. i ówczesnem przemówieniu Piłsudskiego (niepomieszczonem w zbiorowem wydaniu *Pism*); w Nr. 14-ym Zofji Zawiszanki o spotkaniu z Komendantem podczas zjazdu legjonowego we Lwowie w 1923 r.; w Nr. 15-tym luźne wspomnienia z różnych czasów Tadeusza Bobrowskiego, Marjana Malinowskiego, Hipolitowej Śliwińskiej, Stefana Pomarańskiego, Ludmiły Modzelewskiej, Z. Zygmuntowicza, Adama Rudnickiego, K. Bielańskiej, Leopolda Tomaszkiewicza, Witolda Warthy, M. J. Wielopolskiej; w Nr. 16-tym Jana Walewskiego; w Nr. 17-tym Adama Rudnickiego o pobycie Komendanta w Suwałkach w 1919 r.; w Nr. 19-tym Stanisława Ziemaka *(Marszałek w pamięci Druskienik);* w Nr. 22-im Wł. Dunin-Wąsowicza *(Gdy wojsko wręczało Wodzowi buławę marszałkowską)*. W Nr. 8—9 z 1935 r. miesięcznika *Muzyka* Tadeusz Mazurkiewicz przytacza rozmowy miane z Marszałkiem w r. 1918 i 1926 na temat muzyki i roli dyrygenta w orkiestrze.

*

Osobna wzmianka w przeglądzie literatury o Józefie Piłsudskim należy się głosom cudzoziemców o Marszałku. Czasopismo *Pologne Littéraire* podaje w Nr. 106 — 110 kilkadziesiąt artykułów wybitnych mężów stanu, wodzów i pisarzy cudzoziemskich, składających się na zbiorowy hołd oddany Wielkiemu Marszałkowi. Są to przeważnie wspomnienia ludzi, którzy znali osobiście Piłsudskiego i potrafili zrozumieć Jego rolę dziejową. Większość tych głosów i opinij wybiega poza zdawkową kurtuazję w stosunku do pamięci Marszałka i zawiera charakterystyki, które nie będą obojętne dla przyszłej wiedzy o Piłsudskim. Powyższy zeszyt *Pologne Littéraire* zasługiwałby na osobne wydanie w przekładzie polskim.

Słusznie powiedziano, że zjednoczenie całego narodu wobec trumny Wielkiego Przewodnika i Wodza było ostatnim historycznym Jego czynem państwowym. Ale to powiedzenie nie byłoby dość dokładne, gdyby się nie uzupełniło go stwierdzeniem, że to zjednoczenie wyszło znacznie poza granice etniczne narodu polskiego i objęło miljony naszych obywateli narodowości niepolskiej. Fakt to pierwszorzędnego znaczenia politycznego, bo, jednocząc nietylko Naród Polski, scalił wewnętrznie Rzeczpospolitą. Świadczy o tem wymownie dokonane przez St. J. Paprockiego zestawienie dokumentów kondolencyjnych, artykułów dziennikarskich oraz okolicznościowych przemówień ukraińskich, białoruskich, niemieckich i żydowskich *(Sprawy narodowościowe* Nr. 3 — 4 z 1935 r.). Wszystkie narodowości, prócz Litwinów, dały poważny wyraz zrozumienia, że Polska przez śmierć Piłsudskiego straciła jedną z najpiękniejszych swych postaci historycznych, Wskrzesiciela i Budowniczego odrodzonej państwowości.

Zestawienia głosów Polonji zagranicznej wobec zgonu Piłsudskiego, oraz społeczeństwa i prasy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zawierają Nr. 3, 8 i 12 czasopisma Światowego Związku Polaków z zagranicy *Polacy zagranicą*.

*

Powyższe, z natury rzeczy niepełne, zestawienie bibljograficzne pozwala jednak stwierdzić, że literatura o Józefie Piłsudskim w ciągu roku od Jego zgonu pozyskała pozycje wartościowe i pogłębiające wiedzę o Marszałku. Dalsze prace bibljograficzne, dokumentalne i badawcze podejmie niewątpliwie Instytut Józefa Piłsudskiego, który wraz z muzeum belwederskiem wzniesie zczasem monumentalny, trwalszy nad spiże, pomnik Wielkiego Wskrzesiciela Ojczyzny — na wzór i przykład dla następnych pokoleń.

H. MOŚCICKI

EX LIBRIS

GRUPKA PRZEKŁADÓW

Wyobraźmy sobie, proszę państwa, taką sytuację: Amerykański multimiljoner staje się niepopularny i znienawidzony. Są to czasy po panice kryzysowej w roku 1929. Grał na zniżkę, zrobił zawrotny majątek. W Stanach Zjednoczonych nędza dochodzi do zenitu; opinja publiczna utrzymuje, że Horacy Laghet zagarnął pieniądze z całego państwa. Miljoner w czasie zastoju w przemyśle budowlanym buduje wielkie marmurowe pałace, wydaje pieniądze na prawo i na lewo, ofiarowuje wielkie sumy na fundusz bezrobocia i na wszystkie rodzaje pomocy społecznej, ale wcale nie wychodzi mu to na dobre. Ludzie wciąż uważają, że wydaje za mało. Wzywa go do siebie Prezydent Stanów Zjednoczonych. Po tej rozmowie Horacy Laghet dochodzi do przekonania, że lepiej będzie, jeżeli wycofa się ze swoich interesów i zniknie na jakiś czas ludziom z oczu. Buduje więc wspaniały yacht — istną pływającą grotę Aladyna — i wybiera się w sześciomiesięczną podróż do Indyj Zachodnich i Południowej Ameryki. Ale na tydzień przed odjazdem otrzymuje tajemniczy telefon, ostrzegający go, żeby nie wyjeżdżał tym yachtem, bo napewno nie wróci żywy. Laghet dobrał załogę yachtu z największemi ostrożnościami, jest pewny każdego człowieka na statku, zabiera ze sobą w podróż tylko rodzonego brata i kilkoro przyjaciół, w tem kilka dam; zachował wszelkie możliwe środki ostrożności. Tajemniczy telefon ostrzega go jeszcze raz. Wtedy Laghet udaje się do Madame Storey, najznakomitszego detektywa w New Yorku, przedstawia jej swoje położenie i namawia do wyjazdu razem z sobą. Madame Storey jest wirtuozką swojej sztuki; pociąga ją tajemniczość i niebezpieczeństwo. Po ustaleniu szczegółowych i ostrych warunków godzi się na wyjazd i zabiera z sobą swoją sekretarkę. Ale już podczas rozmowy Lagheta z piękną (oczywiście!) detektywką jakaś tajemnicza postać wpatruje się z ulicy w okno jej biura. Szpieg! Każdy krok Lagheta jest śledzony! To jednak tylko podnieca energiczną Madame Storey. Tej samej nocy tajemnicza ręka wznieca przy pomocy benzyny pożar w prywatnym domu pani Storey, najwidoczniej chcąc spalić ją i jej sekretarkę. Pożar zostaje opanowany. Ale jeszcze w drodze do przystani czyhają na Madame Storey różne zasadzki. Wreszcie dostaje się na yacht. Statek wyrusza. Co będzie dalej? Co z tego wyniknie?

Otóż to jest, mniej więcej, treść pierwszych dwóch rozdziałów powieści H u l b e r t a F o o t n e r a pod tytułem *Niebezpieczny ładunek* (Warszawa 1936; Tow. Wyd. „Rój"). Nikt chyba nie zaprzeczy, że początek jest interesujący. Oczywiście nie będę opowiadał, jakie były dalsze losy Horacego Lagheta. Toby zaszkodziło powieści, którą doprawdy warto przeczytać. Powiem tylko, że ów Laghet istotnie ginie na swoim yachcie — i nikt go nie żałuje; nawet żadna bodaj czytelniczka nie uroni nad nim łezki. Tak to jest zrobione. Bo trzeba powiedzieć, że ta powieść detektywna jest jednym z lepszych przykładów swojego gatunku — i pod względem techniki pisarskiej może być uważana jako wzór. Zainteresowanie akcją nie słabnie ani na chwilę, owszem powiększa się z rozdziału na rozdział; psychologiczna motywacja postępków ludzkich bezbłędna; prawdopodobieństwo przedstawionych wypadków uzyskane jest doskonale przez to, że wszystko jest opowiedziane przez sekretarkę pani Storey, która — oczywiście — mówi tylko o tem, na co patrzy. Słowem — pod każdym względem udana powieść detektywna. Można ją polecić do studjowania naszym autorom, uprawiającym ten gatunek. Miewają oni czasem niezłe pomysły, ale nigdy nie potrafią ich odpowiednio wyzyskać. Mieszają różne tematy; do powieści rozrywkowej wprowadzają moralizatorstwo, a — co najgorsza — nigdy nie potrafią z sensem kompozycyjnym i prawdopodobieństwem przeprowadzić swojej akcji. Od tego pana Footnera mogliby się wiele nauczyć.

Druga powieść z wybranej dzisiaj przeze mnie grupki przekładów jest już bez porównania gorsza. Terenem akcji jest również Ameryka Północna, autorem E. P h i l i p s O p p e n h e i m. Powieść ma tytuł *Szach!... i mat* (Warszawa 1936; Tow Wyd. „Rój"). Pan Oppenheim to wielki patriota angielski: okropnie nie lubi Niemców. Jego powieść zajmuje się szpiegostwem niemieckiem i tajną akcją dyplomatyczną niemiecką na terenie amerykańskim w czasie Wielkiej Wojny — jeszcze przed przystąpieniem Stanów do Koalicji. Są tu intrygi miljonera Fischera, obywatela Stanów, ale zagorzałego patrioty niemieckiego. Pan Fischer stara się pokłócić Stany i Japonję z Anglją i wzajemnie pomiędzy sobą; uprawia akcję sabotażu w amerykańskich zakładach amunicyjnych i poluje zawzięcie na pewien kawałek papieru, na którym zapisana została formuła chemiczna jakiegoś potwornie zabójczego gazu. Nie cofa się nigdy przed żadnemi środkami, które go do tych celów mogą doprowadzić. Ale nad panem Fischerem czuwa major Lutchester, kwintesencja wszelkich zalet londyńskiego Scotland Yardu, i nietylko krzyżuje zawsze we właściwej chwili niecne knowania Niemca, lecz sprząta mu również z przed nosa uroczą Amerykankę, Pamelę van Teyl. W całości jest to nudna piła, uzębiona szczególnie przykrym i anachronicznym patrjotyzmem wojenno-propagandowego stempla. Akcja prowadzona niedołężnie, sposób przedstawienia naiwny. Książka jest dowodem, że i w Anglji wychodzą czasem nędzne powieścidła. Czy jednak warto było ją tłumaczyć poto, żeby się o tem przekonać?

A oto jeszcze jedna powieść amerykańska: *100% U p t o n a S i n c l a i r a* (Warszawa 1936; Tow. Wyd. „Rój"). Tu wchodzimy w zupełnie odmienny świat. Autor *Trzęsawiska*, *Jimmy Higginsa*, *Nafty*, *Króla węgla* i wielu innych, znanych u nas książek powieści przedstawia jeszcze raz grzechy amerykańskiego „Wielkiego Kapitału". Chodzi tu głównie o zobrazowanie metod walki tego kapitału ze światem socjalistycznym. Autor pokazuje, jak kapitał stwarza szpiegostwo, donosicielstwo, prowokatorstwo; jak deprawuje słabsze charaktery ze sfer robotniczych; jak wpływa na władze — do tego stopnia, że — jak pisze — wywiad i wymiar kary na wszelkich radykałów przeszedł z rąk władz publicznych w ręce „Wielkiego Kapitału". Autor wyznaje, że pewna ilość wydarzeń w jego książce jest fikcyjna, — wszystko jednak, co posiada znaczenie społeczne, zostało opisane zgodnie z faktami, znanemi osobiście autorowi i jego przyjaciołom. Książka ma wszystkie zalety tego pisarza; zapał, siłę przekonania, odwagę wypowiedzenia, dar propagandowy — i zarazem wszystkie wady artystyczne innych jego utworów.

A teraz przechodzimy znów do innego świata. Głucha prowincja norweska. Samotne folwarczki w lasach lub górach. Małe miasteczka. Wreszcie port rybacki w większem mieście — w Dronthjem. Na tem tle rozwija się wzruszająca historja małej Hanzyny, córki zbiednialych właścicieli folwarku, dumnych ze swego uczciwego rodu chłopów norweskich. W rodzinie dziewięcioro dzieci. Hanzyna już jako jedenastoletnia dziewczynka pracuje u obcych, surowych i bezlitosnych ludzi; pasie owce. Potem dostaje się do zamożniejszych i trochę bardziej ludzkich krewnych. Ale ktoś rzucił na nią podejrzenie o kradzież. Okoliczności przemawiają przeciwko niej. Wszystko się wyjaśnia, lecz podejrzenie przyczepia się do nieszczęsnej dziewczyny i prześladuje ją przez całe życie. Kto wie, co znaczy takie podejrzenie w krajach skandynawskich, ten zrozumie los Hanzyny. Ale to silny charakter. Zdobywa wiele w życiu — pomimo wszystko. Męża zdobywa dosłownie pięściami i pazurami; dusi go dotąd, dopóki się nie zdecyduje na małżeństwo. Potem są najlepszem stadłem. Hanzyna świetnie wychowuje dzieci i umożliwia im wejście w lepszy i społecznie wyższy świat. Sama jednak doczekała się zupełnej rehabilitacji dopiero wtedy, gdy — jako chora na uwiąd starczy — wygląda śmierci w zakładzie dobroczynnym. Umiera, myśląc o tem, że nareszcie dowie się, jakie były zamiary Boże co do jej losu, który ją tak okrutnie przez całe życie doświadczał. Tytuł powieści *Hanzyna*, autor P e t e r E g g e (Warszawa 1936; Tow. Wyd. „Rój"). Ciekawa, wzruszająca, piękniе napisana książka.

Z zainteresowaniem można również przeczytać powieść autorki niemieckiej G i n y K a u s, pod tytułem *Siostry Kleh* (Warszawa 1936; Tow. Wyd. „Rój"). Rzecz dzieje się w Wiedniu w czasie wojny. Siostry Kleh, Irena i Lotta, są córkami jubilera. Środowisko patrycjuszowskie, tradycjonalistyczne, szanowne i solidne. Starsza siostra w czasie wycieczki do ciotki poznaje się z bawiącym na urlopie rannym porucznikiem. Rzecz przybiera taki obrót, że porucznik — wywilu zdolny architekt — musi się z Ireną ożenić. Ona go bardzo kocha; porucznikowi się zdaje, że też ją kocha, ale zdaje mu się tak, dopóki nie poznał młodszej siostry. Lotta, szesnastoletnia panienka, postanawiająca sobie, że w życiu musi zostać *czemś*, poddaje się fatalistycznie miłości młodego architekta. A jednak wychodzi za niego nie ona, lecz Irena. I rozpoczyna się dziesięcioletnia walka dwóch sióstr, i to sióstr bardzo wzajemnie się kochających. Zachodzą nadzwyczajne komplikacje, możliwe tylko w czasie wojennym. Młodziutka i niezamężna Lotta zostaje matką, ale Irena symuluje to macierzyństwo wobec całego świata i wobec swego męża. Potem Lotta osiąga sławę jako aktorka; szaleje w różnych ekstrawagancjach; ostatecznie tęsknota za dzieckiem sprowadza ją do siostry. I tutaj wszystko kończy się okropną, krwawą katastrofą. Po dziesięciu latach wszystkie tajemnice zostają ujawnione; i — jak czytamy — „nikt nikogo nie oszczędza". Wielka miłość sióstr nie wytrzymuje próby. Smutne te dzieje opowiedziane są w formie pamiętnika starej opiekunki dwóch sióstr — opowiedziane z niemałym talentem pisarskim i bardzo zajmująco. Jest to powieść psychologiczna na tle obyczajowem, bardzo wiernie i artystycznie odtworzonem.

Powieścią psychologiczną jest również powieść znanego pisarza francuskiego M a r c e l a P r é v o s t — pod tytułem *Klarysa i jej córka* (Warszawa, 1936; „Świat"). Tutaj psychologja wkracza w dziedzinę patologji. Rzecz zajmuje się szczególniejszym i bardzo skomplikowanym wypadkiem zazdrości matki o własną córkę — o miłość tej córki do rodzonego ojca. Sprawy te ocierają się o patologję, ale wyjaśnione są w granicach psychologji normalnej — bez uciekania się do terminologji i pojęć freudyzmu. Rzecz przedstawiona bardzo subtelnie i z doskonałą techniką powieściopisarską.

Na zakończenie wspomnę pokrótce o ciekawostce literackiej, którą wybornie przygotował czytelnikowi polskiemu Tadeusz Żeleński (Boy). Jest to utwór dramatyczny pod tytułem *Ubu Król czyli Polacy* A l f r e d a J a r r y (Warszawa 1936; Tow. Wyd. „Rój"). Rzecz była grana w Paryżu w r. 1896, raz jeden, i wywołała skandal, który przeszedł w legendę literacką. Napisana jeszcze dawniej, kiedy autor miał lat 15, w pierwotnej intencji miała być satyrą na licealnego nauczyciela historji. Potem odkryto w niej różne głębie. Stała się sama legendą i prekursorką wielu znacznie późniejszych zjawisk literackich. Jest w niej *in nuce* futuryzm, dadaizm — i są nawet pewne elementy dramatycznej twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza. Nie tyle może sam utwór, właściwie dość nudny, zwłaszcza w czytaniu, ile jego historja i postać jego autora jest bardzo ważnym przyczynkiem do dziejów dekadentyzmu jako kierunku literackiego. To też najciekawszą w książce jest obszerna 50-stronicowa przedmowa Boya-Żeleńskiego, świetnie przedstawiająca paryską atmosferę schyłku XIX wieku i uprzystępniająca zagadkowy utwór Alfreda Jarry. Dla tej przedmowy warto nabyć książkę pod tytułem *Ubu Król.*

LEON PIWIŃSKI

TEATR

TEATR POLSKI: *Ostatnia nowość*, komedja w 4 aktach E. BOURDETA, przekład T. Żeleńskiego (Boya), reżyserja Jerzego Leszczyńskiego, dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Pierwszy akt zapowiada tęgą satyrę na francuskie stosunki literackie. Jest tu bogaty księgarz uwijający się jak mucha w ukropie w dniu przyznania nagrody Zoli, gdy brodaci panowie w czarnych tużurkach głosują sobie spokojnie przy zastawionym stole... ściśle według jego telefonicznych poleceń. Jest głośny powieściopisarz, który traci już murowaną nagrodę, skoro wykrywa się, że ukradkiem podpisał kontrakt z wydawcą konkurującym. Jest inny, zupełnie nieznany, który ją zyskuje przypadkiem i nagle staje w sławie jak w słońcu, przyciskając do piersi rękopis, dotąd obnoszony po próżnicy po wszystkich oficynach. Rejwach tych wypadków przelatujących cwałem między pierwszem i piątem głosowaniem ma w sobie bardzo udzielającą się gorączkę.

W przerwie, uzupełniając te wiadomości z terenu paryskiego tem co wiemy o naszym, usiłujemy przewidzieć dalszy rozwój wypadków. Jaki będzie udział wydawcy w sławie i dochodach laureata? Czy rączka rączkę umyje? Czy też po kilku zgodnych krokach nóżka nóżkę kopnie? Wydawca trzyma literata w garści, bo nie sztuka zdobyć sławę, sztuka ją zachować, a ta pielęgnacja kosztuje... Znowu, tacy poczciwcy i niezdary, jak ten Marek, zmieniają się do niepoznania po pierwszym sukcesie. Może sam sobie napisze, bez płatnego pośrednictwa, że jego książka jest najwybitniejszem dziełem współczesności? Może poprosi o to zaprzyjaźnionego recenzenta, odwzajemniając się mu opinją najznakomitszego krytyka na obu półkulach? Poczem już, wprzągłszy obie przysługi w rydwan, cmoknie i bez niczyjej łaski pojedzie w potomność, w wieki? Wszystko to bywa. Zobaczymy.

Ale sztuka nie daje już sposobności do takich spostrzeżeń, bo od drugiego aktu skręca raptownie na ubity szlak farsy miłosnej ze wszystkiemi wyboj ami nieprawdopodobieństw w sytuacjach i charakterach. Tyle jeszcze tylko, że motorem akcji jest tu podawnemu wydawca, który na dalszą twórczość Marka wyłożył już grubszą gotówkę. Tymczasem Marek od miesięcy wykrzywia się rozpaczliwie nad białą kartką papieru, bo brak mu przeżyć. Księgarz o te przeżycia się postara — nie może tracić. Żonę Marka, Jacqueline, perswazją, literata Marechala groźbą skłania do serdeczniejszego zainteresowania wzajemnego. Niech Marek zazdrości, wścieka się, cierpi, niech Jacqueline pisze dzienniczek — może coś z tego będzie. Odtąd już sprawy toczą się utartym torem i dopiero pod koniec rozjaśnia je znowu uśmiech inteligencji, naprawdę nie w ciemię bitej, gdy z miłosnej niedoli Jacqueline wyrastają trzy utwory: powieść męża, nowela niedoszłego kochanka i dramat powiernika, wszystkie trzy wykarmione pasożytniczo na cudzem uczuciu.

Ta „dwugatunkowość" sztuki została dość niespodzianie potraktowana w ujęciu reżyserskiem. Akt pierwszy zagrano w zawrotnem tempie farsy, nie gardząc przy nadarzającej się sposobności ani dosadnością min ani gwałtownością gestu. Wydawałoby się, że w aktach następnych ten styl ulegnie jeszcze wzmocnieniu, bo przecież nie było żadnych powodów, aby te kłopoty miłosne zaaranżowane przez księgarza brać poważnie. Tymczasem wzięto je poważnie, usiłując widać z przyzwyczajenia do konwencyj dramatu mieszczańskiego, że miłość musi się prezentować godnie nawet w farsie i że jej cierpieniom przystoją tylko wyraz szlachetny i pełen umiaru. Skutek był ten, że najważniejsze postacie rozszczepiły się na dwoje: raz były „po ludzku prawdziwe", kiedyindziej przesadzone i komiczne. Jacqueline starała się wzruszać objawami dojmującego cierpienia, aby za chwilę zabawiać widza odciąganiem za połę marynarki księgarza od telefonu. Marek fajtał nogami wnoszony do księgarni przez sprzedawcę i wkrótce przyoblekał twarz w powagę głębokiego bólu.

Z tem wszystkiem gra Samborskiego, Daczewskiego i Gorczyńskiej odznaczała się szczególną żywością.

TEATR LETNI: *Nieusprawiedliwiona godzina*, komedja w 5 aktach STEFANA BEKEFFI, przekład Karola Romockiego, reżyserja Janusza Warneckiego, dekoracje Stanisława Jarockiego.

Ta komedja, jak większość licznych dzisiaj sztuk o pensjonarkach, obliczona jest na takie uczucia, jakie skłaniają starszych panów do błądzenia o zmroku ulicami i zaglądania w oczy przechodzącym dziewczynom w uczniowskich beretach. Dlatego to nie potrzebuje zadawać sobie wiele fatygi, aby zrealizować marzenia tego gatunku — wystarczy w zupełności siedemnaście lat bohaterki, kusa sukienka, białe łóżeczko z niebieskiemi wstążkami i warkocze na nocnej koszuli. Panna Lili Jaeger wprost z białego łóżeczka — zachował je teatr z czasów p. Krzywoszewskiego — skacze równemi nogami do wytwornych apartamentów profesora uniwersytetu, stąd zaś wymyka się ukradkiem do szkoły. Daje to aktorce sposobność do kilkakrotnej zmiany sukni i stylu gry, a panu Bekeffi pozwala rozwinąć sztukę dialogu z niezrównaną, doprawdy, bezmyślnością.

Wymowny przy tem wszystkiem jest fakt natury społecznej, — oto, że takie pensjonarki z pod ciemnej gwiazdy grasują z wielkiem powodzeniem w społeczeństwach zdławionych przez reakcję polityczną, odsuniętych od spraw zbiorowego życia. Poprzednio teatr rozbudzał w ludziach, chociaż dość niedołężnie, namiętności większe i szlachetniejsze — szli doń często jak na wiec. Teraz, bezmyślnie uśmiechnięci, idą jak — „na dziewczynki". — Nie wydaje się, aby dzisiaj u nas publiczność walila tłumem do teatru Letniego.

Pannę Lili zagrała Lindorfówna z werwą, jej męża Różycki — z naturalnością, jej przyjaciółkę Brzezińska — z wyczuciem komizmu. Groteskowe postacie pedagogów dźwignęli jak piórko Orwid, Rotter-Jarnińska, Karpowiczówna i Rogińska.

BOHDAN KORZENIEWSKI

SPRAWY FRANCUSKIE

PRIX GONCOURT 1935.

Sang et lumière Peyrégo to powieść o tak intensywnym kolorycie lokalnym, że czytając słyszymy niemal suchy chrzęst kastanietów i przeciągły, ochrypły śpiew hiszpańskich *gitan*, że widzimy ten świat, pełen kontrastów, świateł i cieni. W atmosferze rozedrganej słońcem rozgrywa się dramat areny, skupiającej setki tysięcy widzów, pijanych pasją krwi — dramat walki człowieka z bestją, *los toros*.

Widowisko tauromachji jest czemś, co przerzuca wyraźną granicę pomiędzy człowiekiem południa i resztą Europy. Trzeba mieć tę namiętność w krwi, aby zrozumieć szał i rozbestwienie tłumu na widok rzezi, która wówczas nawet, gdy ludzie wyjdą bez szwanku, nigdy nie oszczędza zwierząt. Przyznam się szczerze, że gdy pierwszy i jedyny raz dałam się zaciągnąć na igrzyska, szczycące się obecnością jednego z najwybitniejszych „matadorów", nie miałam poprostu sił, aby dotrwać do końca i wyszłam jak tchórz po przedostatnim by-

ku, ku uciesze i zdziwieniu moich przyjaciół (właśnie wyciągano z areny konia o rozprutym brzuchu, zasypując skrzętnie krwawe ślady). Ale jednocześnie ze mną, na miejscach wyższych i najwyższych, było mnóstwo młodych i dzieci, biorących w zawodach udział jak najżywszy, gestykulujących, roześmianych, bawiących się wybornie. Czyżby znaczyło to, że ci ludzie mają serca nieczułe na cierpienie i twarde jak kamień? Nie znam większych uczuciowców jak Hiszpanie, o nerwach przewrażliwionych i pulsujących niemal dotykalnie pod cienką skórą, jak u rasowych koni. A jednak ci sami ludzie, których śpiew *Flamenco* przyprawia o łzy, którzy nie mogą znieść głodnych ptaków i psów, wpadają nagle podczas tauromachji w dziwny trans, znieczulający ich doszczętnie na żywych aktorów widowiska. Co więcej: niekiedy rozszalała pasja tłumu o śmierć przyprawia matadora-ulubieńca, każąc mu się ważyć na najtrudniejszy *quite*, na najbardziej ryzykowny cios. Zwycięski *torero* w „stroju świetlistym“, którego wita dziki krzyk radości i deszcz dorywczych upominków (któraż Hiszpanka w takiej chwili nie rzuci na arenę wachlarza lub conajmniej... rękawiczki?) — zwycięzca ten przed chwilą był szczuty, jak zwierz, wygwizdywany bez pardonu za każde pchnięcie nieopatrzne, wyśmiewany za każdy, samoobronny gest. Łaskę publiczności hiszpańskiej zdobywa się tylko krwią i muśnięciami cienia śmierci. Na rękach obnoszą dziś tych, których oszczędził los i własne szczęście. Ilu jednak pada w rozstrzygającej chwili, ilu powraca z areny poprzez długi, mroczny i zimny tunel, do infirmerji, na operacyjny stół, z którego nie zawsze schodzi się żywcem!

Tę wielkość i nędzę torera opiewa ostatnia książka J. Peyré. Na tle egzotycznego tłumu, którego pomruk niespokojny towarzyszy nam bez przerwy, do końca książki, pod szafirowem niebem, które czasu igrzysk ciąży jak ołów nad areną, rozpaloną do białości, wpośród kalejdoskopu wzorzystych scen słynny matador, Ricardo Garcia, na ostatnią stawkę rzuca swój los. Oczywiście obok niego odnajdujemy kobietę fatalną i przekupną, Marilenę, która go namawia do nowych, ryzykownych występów, dla pieniędzy. Ricardo daremnie się wzbrania, jakby wiedziony przeczuciem. Próżno wymawia się zdrowiem (już nie raz jeden arenę zbroczył krwią) i zmęczeniem rąk, których przeguby, „kruche jak szkło“, trzeba chronić przed każdym występem misternemi bandażami. Przebiegła gra Marileny zwycięża opór torera, mimo przestróg przyjaciół i obaw dziewczyny, Pili, która go kocha miłością niewzajemną, Ricardo podpisuje kontrakt na dwa występy, z których drugi ma być ostatnim.

Opis tauromachji w ostatnim rozdziale książki, przypominający werwą i kolorytem Mériméego, należy do najpiękniejszych kart literatury francuskiej. Poprzednie sceny zjednały naszą sympatję dla don Ricarda, który mimo sławy pozostał dzieckiem swojego ludu, obrońcą słabych, mścicielem cudzych krzywd, o sercu czułem i jakby niewieściem — to też śledzimy ostateczne perypetje z zapartym tchem. Jego ostatnia walka z bykiem *Colorado*, ostatnia scena, w której *torero*, ustępując przed kaprysem tłumu, l e w ą r ę k ą chce zadać bestji śmiertelny cios — zemsta byka i te ostatnie, wpółprzytomne słowa w drodze do lazaretu: „Samiście chcieli, sa-mi-ście chcie-li...“ wszystko to posiada szlachetny patos, który może nas przejąć dreszczem grozy, ale nie jest pozbawiony znamienia wielkości.

Nie daremnie jednak, na dalekim horyzoncie, rozbrzmiewa głuchy pomruk rewolucji. Hiszpanja tauromachij, świateł i krwi budzi się groźnem przebudzeniem, którego wstrzymać już nie zdoła narkotyk *panem et circenses.* Poprzez wszystkie karty książki, (której akcja się rozgrywa w 1931 roku) przepływa niepokój, będący zapowiedzią dogłębnych przeobrażeń.

PRIX FÉMINA.

Bénédiction pani Claude Silve (Grasset, 1935) to powieść wiotka i przejrzysta jak babie lato. Od pierwszej strofy, niepostrzeżenie, zaczyna działać jej czar. Nie opuszczając najrealniejszej, ziemskiej powłoki, wchodzimy oto w klimat baśni. I nagle zaczynamy rozumieć, że sprawy powszednie i najprostsze kryją sekret niepowszedni, że każda rzecz posiada wielowymiarowy byt, rzadka w pełni dostępny wejrzeniu. Banał jest dzieckiem wyrodnem wyobraźni, przesyconej jak rozczyn chemiczny. Wystarczy „włożyć“ nowe oczy (tak jak się wkłada okulary), aby dostrzec wiekuistą młodość i odrębność wszystkiego, co jest. Albowiem nie natura tworzy standardy, lecz człowiek.

W tem olśnieniu jedynością bytów bije źródło poezji. To jest ten czar, którym autorka *Błogosławieństwa* osacza nas zewsząd. W jej ręku najlichszy szczegół przeistacza się w pieśń. Nie ginie przytem kontrast między pozorną zwyczajnością faktów i duszą w nich utajoną. Czytając książkę, nie zapominamy ani na chwilę, „że są ludzie, którzy w rzeczach zabijają przezroczystość“. Rozumiemy doskonale, że oglądana z innej strony, innemi oczyma — ta sama szczupła fabuła rozprysłaby się jak bańka mydlana.

Na tem właśnie polega walor powieści i jej swoisty ciężar gatunkowy. Na tle szarzyzny niezaprzeczonej rozgrywa się dramat wielogłosowy, zakonspirowany w tej właśnie szarzyźnie. Nie o fabułę chodzi, lecz o ten tajemny, przyczynowy splot, będący wypadkową mnóstwa danych nieuchwytnych, które się czają za każdym węgłem, na każdym kroku.

Istotnym bohaterem powieści jest stary zamek, pełen tajemnic i potrzasków. Nikt z mieszkańców nie wykracza przeciw prawom, dyktowanym przez dziedzictwo stuleci. Stara markiza jest uosobieniem tych pokoleń minionych i zazdrosną strażniczką ich schedy. Ktoś zarzucił pani Claude Silve, że zanadto szafuje herbarzem. Jest to nieporozumienie. Wszak nie chodzi tu o żadne studjum społeczne, tem mniej o apologję. Ale może znajdujemy w tej zmiennej powieści odpowiedź na pytanie dla psychologji ciekawe: jaki jest wpływ atmosfery pewnych miejsc, zwłaszcza miejsc odosobnionych i zamkniętych, na kształtowanie się osobowości. Częściej, niżby to przypuścić można, zaśniedziałość tłumaczy się miejscem, mackami elektronów, które nierade zmieniają rytm.

W ten krąg zamknięty przedostaje się człowiek obcy: młodziutka Włoszka, Maria Mancilia, przywieziona zdaleka, aż z Chin, przez syna domu, hrabiego Horacego, który się z nią tam w dali zaręczył. Ale ani stary dom, ani markiza cudzoziemki przyjąć nie chcą. Poza słowami, pełnemi kurtuazji, rozgrywa się dramat bolesny, broczy krew. I oto nawet hrabia Horacy podlega urokowi miejsca, staje się inny. Maria Mancilia nie wytrzymuje próby, ucieka potajemnie jak ptak, któremu grożono klatką. I oto stare mury, zaniepokojone obcym najazdem, starzy ludzie, powracają w ramy, uświęcone tradycją. I tylko tych dwoje pada ofiarą, albowiem i hrabia Horacy, jak się dowiadujemy z prologu, odjeżdża na przepadłe.

Ten szczupły wątek mówi bardzo niewiele. Powtarzam raz jeszcze: cały urok i cały sens powieści jest w darze ewokacyjnym, który pod szarą skorupą faktów dopatruje się duszy. Ten animizm bywa niekiedy naiwny jak bajka Grimma: nie nuży nigdy. Wśród rozlicznego potomstwa *Le Grand Meaulne* Alain-Fourniera *Błogosławieństwo* należy do najbardziej udanych i „rasowych“. Nie jest to eksperyment literacki ale swoisty wyraz talentu. Tym razem *Prix Fémina* nie omylił się w ocenie.

MARJA WINOWSKA

KRONIKA

PAPIEROWY PROGRAM

Parlamentarna Grupa Pracy ogłosiła niedawno za pośrednictwem *Kurjera Porannego* szereg uchwał, objętych ogólnym tytułem: „O likwidację przyczyn i skutków bezrobocia“. Do uchwał tych przywiązuje Grupa Pracy dużą wagę, traktując je jako program agitacyjny na okres przerwy parlamentarnej oraz jako „program działania, który stanie się przedewszystkiem materjałem dla akcji parlamentarnej, prowadzonej w okresie jesiennej sesji sejmu i senatu“. Tezy programu, jak zapewnia komentarz wstępny, „już w obecnej fazie zostały przedstawione czynnikom rządowym“ t. j. jeszcze rządowi Kościałkowskiego. Idzie więc o pewien program, który może stać się tematem obszerniejszej dyskusji, szczególnie że autorowie projektu łączą go z całokształtem spraw gospodarczych, nie ograniczając się ściśle do kwestji samego bezrobocia. Nie kusząc się na tem miejscu o zanalizowanie całości programu, co zresztą wymagałoby należytej kompetencji w rzeczach, wprawiających nieustannie w zakłopotanie najtęższych fachowców, można sobie przecież pozwolić na dyskusję w granicach pytania: czy omawiany tekst reformy, pomyślanej przez Parlamentarną Grupę Pracy, posiada zasadniczo szanse urzeczywistnienia. Pod tym bowiem względem niektóre paragrafy projektu budzą nieco zastrzeżeń.

SPOJRZENIA W RZECZYWISTOŚĆ

Wojsko jest ucieleśnieniem siły fizycznej, której użyć trzeba, kiedy sprawiedliwość zawodzi. Wojsko silne, spoiste jest nieodzownie Rzeczypospolitej potrzebne. A wobec tego rozważanie na temat, czy jest koniecznością smutną czy wesołą, trąci hamletyzmem. Wojsko nie może mieć nic wspólnego z demokracją — jest w samej istocie swej zaprzeczeniem demokracji. Wszelkie zatem próby uzgodnienia jego ustroju z nią są szkodliwe dla moralności wojskowej. Dowodów szukać nie trzeba. Armja zatem winna być wyodrębniona, stanowić jednostkę osobną, pozostającą poza wszystkiemi wpływami czynników politycznych.

Wojsko jest wykonawcą woli Rzeczypospolitej — jako takiej. Władza nad niem spoczywa w ręku jedynego Mandatarjusza całego Narodu — Głowy Państwa. Głowa Państwa stanowi o jego ustroju. Głowa Państwa wykonuje swą władzę nie przez jakąś zbiorowość, ale przez tego, kogo przeznacza na Naczelnego Wodza w czasie wojny. Ten właśnie Inspektor Generalny wojsko szkoli, organizuje, dobiera odpowiedzialnych wykonawców i pomocników i przedkłada Rządowi przez ministra spraw wojskowych swe postulaty zapewnienia obronności kraju w najszerszem tego słowa znaczeniu. Minister tedy spraw wojskowych jest z jednej strony organizatorem współżycia wojska z całością ustroju Rzeczypospolitej, z drugiej — łącznikiem pomiędzy niem a Rządem.

Tak streścić możemy pokrótce ostatni dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o ustroju władz wojskowych. Daje on wojsku autonomję i warunki rozwoju niezależne od przemijających nastrojów, pozwala mu na wnoszenie postulatów w ciszy, bez niepotrzebnego rozgłosu; daje mu możność pozostawać tym wielkim „niemym“, który nie potrzebuje nigdy występować wewnątrz w charakterze arbitra, czy strony — by zachować całą siłę na działanie zewnętrzne.

Szczegóły dekretu sprawdzi życie. Zasada jego ogólna uczciwie i odważnie stawia to niezmiernie doniosłe zagadnienie na gruncie jedynie możliwym: skoro być musi — niech będzie jak najmocniejsze.

A że być musi — dowodem sprawy zewnętrzne — Abisynja. Kraj ten, przestał istnieć, jako państwo. Abisynja przestała istnieć nie tylko dla tego, że sama nie posiadała odpowiednio zorganizowanej i wyekwipowanej armji, ale i dla tego, że gotowych i odpowiednio mocnych sił zbrojnych nie posiada i Wielka Brytanja. Jeżeli nawet interesy gospodarcze Albionu z powodu podboju Abisynji nie doznają szwanku — jeżeli nawet polityczne interesy Anglji nie będą naruszone i droga do Indyj nic na swej pewności nie straci — przecież skompromitowana została waga postulatów Londynu i dziś znaczenie jego jako czynnika decydującego nawet na rozciągłości najważniejszych dlań szlaków — prysło i niemoże być przywrócone bez przywrócenia niepodległości Abisynji. Czy to możliwe? Nie będziemy wdawać się w przepowiednie. Chodzi o stwierdzenie istoty rzeczy.

*

Oczy wszystkich przyciąga Francja. Co się tam odbywa? Czy gabinet Frontu Ludowego p. Bluma oznacza początek przebudowy ustroju? Czy znaczy realizację zasad socjalizmu? Czy będzie to tylko odmiana nowa rządów burżuazyjnych, coś nakształt gabinetu MacDonalda w Anglji?

Socjaliści nieraz i nie w jednem państwie dochodzili do steru i... przystosowywali się niezmiernie elastycznie do istniejących warunków. Trochę ubezpieczeń, nieco rozwoju instytucyj opiekuńczych, czasem podwyższone podatki (nie za bardzo) a także i nie mało demagogji nacjonalistycznej,— a wszystko to trwało tak długo, póki proletarjat nie stracił wiary w umiejętność przebudowywania ustroju przez swych przedstawicieli. P. Blum w pierwszych swych wystąpieniach poszedł właśnie po tej linji — uspakajania mieszczaństwa. Był tylko o tyle ostrożniejszy od swych poprzedników w innych państwach, że odpowiedzialność za kompromis pragnął podzielić z... komunistami. Ci jednak odmówili współpracy w rządzie. Spodziewają się w ten sposób wygrać wygodną pozycję jeżeli nie całkowitej — to pół-opozycji.

Ale „życie — jak powiada Staff — to poważny fach i nie chce znosić dyletantów“. I nie lubi tych, którzy wymanewrowują się z wszelkich trudności. W tym wypadku przewidzieć przyszłość nietrudno. Jeżeli p. Blum nie zdobędzie się na realizację programu socjalistycznego, jeżeli poprzestanie na przemówieniach i politykowaniu w ramach kapitalistycznego ustroju — to podzieli los wszystkich znanych dotąd gabinetów swych towarzyszy z zagranicy, pozostawiając miejsce bardziej prawicowemu następcy, który być może nawet w dziedzinie reform społecznych śmielej od niego będzie poczynał. A jeżeli się zdobędzie?

Będzie miał przeciwko sobie większość parlamentu. A narazie rządzić przeciw większości we Francji niesposób. I dlatego przyszłość stawia nas wobec pytania raczej, czy będzie rządzić p. Blum i jak długo, niż wobec możliwości daleko idących przeobrażeń. Do tych sytuacja jeszcze nie dojrzała.

*

Ocena rzeczywistości nie jest rzeczą łatwą zresztą nietylko w sprawach geograficznie dalekich. Nieraz spotykamy trudności jej w naszem życiu i to w formie świadczącej o jakiejś olbrzymiej niezgodności pomiędzy tem, co nazywamy prawem, a wymaganiami życia. Oto fakt.

Od premjera począwszy, poprzez ministra skarbu, przemysłu i handlu, na ministrze rolnictwa skończywszy — nieomal wszyscy szefowie resortów prawie wszystkich Rządów w Polsce kładli nacisk na korzyści płynące z rozwoju spółdzielczości. Czasopisma nasze i prasa codzienna w ostatnich czasach zwróciły uwagę na wspaniały rozwój spółdzielczości zdrowia w Jugosławji. Wyniki jej pracy są naprawdę imponujące — społecznym bowiem wysiłkiem wprowadzają medycynę tam, gdzie dotąd panował wszechwładnie znachor — a dokąd w najlepszym wypadku docierał felczer.

I oto, kiedy we wsi Markowie, w pow. przeworskim, podjęto starania około założenia pierwszej spółdzielni zdrowia w Polsce —zaszło coś zupełnie nieoczekiwanego: Sąd Okręgowy w Rzeszowie odmówił zarejestrowania jej. Motywy odmowy są niezmiernie charakterystyczne. Sąd uznał, że spółdzielnia taka miałaby charakter filantropijny, i że jako nie obliczona na zysk, nie zmierzająca do prowadzenia wspólnego przedsiębiorstwa prowadzi do „uchylenia się stowarzyszenia od nadzoru władz administracyjnych“.

Sprawa poprzez związek rewizyjny doszła do Rady Spółdzielczej, która zajęła biegunowo przeciwne stanowisko. „Spółdzielnie zdrowia bowiem są jedną z form spółdzielni zaspakajania wspólnych potrzeb (wzajemnej pomocy) — czytamy w odpowiedniem piśmie. — Zasadnicze cele ich działalności, a więc opieka lekarska... nabywanie lekarstw i przedmiotów, służących do podniesienia zdrowotności, utrzymywanie zakładów do ratowania... zdrowia należą niewątpliwie do kategorji potrzeb społecznych których zaspokajanie może odbywać się tylko na drodze gospodarczej“. I dalej, stwierdza Rada zupełnie kategorycznie: „Przedsiębiorstwa, prowadzone przez spółdzielczość wszystkich rodzajów nie są zasadniczo obliczone na zysk, lecz na pokrywanie potrzeb członków“.

Sprawa oprze się oczywiście o Sąd Najwyższy. Nie naszą rzeczą jest orzekać, czy Sąd Okręgowy w Rzeszowie miał rację formalną. Jeżeli tak — to tem gorzej. Tem gorzej dla naszego ustawodawstwa, które widocznie nie dość wyraźnie oddaje intencje swych twórców. Ale tem gorzej i dla Sądu jako instytucji, gdyż mówi to a jakimś rażącym rozdźwięku pomiędzy jego sposobem odczytywania ustaw a potrzebami życia. A w takim razie będzie to wymagało bardzo poważnej dyskusji. Narazie faktem jest, że orzeczenie legalne i urzędowe zahamowało działalność instytucji służby zdrowia niezbędnej poprostu w środowisku, gdzie umiera 14% niemowląt. Wymowa faktu mocno niepokojąca i tem bardziej niepokojąca, powtarzamy, im więcej formalnej racji Sądowi w Rzeszowie przyznać będziemy musieli.

I zatrzymajmy się jeszcze chwilę, jeżeli nie na niemowlętach — to wogóle na dzieciach. Podjęta bowiem została poważna inicjatywa społeczna ku tej „przyszłości narodu“, której nikt nie chce traktować jako pewną teraźniejszość. Znane i zasłużone Stowarzyszenie Uczestników Walki o Szkołę Polską, po szczęśliwem wprowadzeniu na porządek dzienny życia naszego sprawy polskiej szkoły za granicą, obecnie podejmuje sprawę dziecka — powiedzmy dokładniej — sprawę zmiany stosunku do niego społeczeństwa. Podejmuje ją głęboko i poważnie. Podejmuje przez opracowanie z jednej strony prawa dziecka, badanie dzisiejszego wychowania, szkolenia bezpośrednich opiekunów i wychowawców i dalej instruowanie tych wszystkich, co się z dzieckiem stykają — woźnych, konduktorów tramwajowych, stróżów ogrodów i zieleńców publicznych.

Komisja dla spraw dziecinnych, wyłoniona przez Stowarzyszenie poczyna działać, opracowuje plany i niebawem zwróci się do szerszego ogółu ze swemi wymaganiami. Tam, gdzie dzieci jest mało — postulaty te są już od dawna ogólnie przyjęte. U nas dzieci dużo. Więc tem więcej będzie radości z reformy obyczajowej, reformy, polegającej na wniesieniu radości i dobroci tam, gdzie dziś jest namaszczenie i surowość — albo i zgoła opryskliwa ponurość.

ADUZ

Tak jest np. z paragrafem trzecim, w którym Grupa Pracy przewiduje „natychmiastowe uzupełnienie systemu pokrycia waluty złotem i dewizami przez dodatkowe pokrycie jej papierami, będącemi wyrazem rentownej działalności gospodarczej, tworzącej nowe, gospodarstwu społecznemu potrzebne wartości, i zabezpieczonemi przez inwestorów i przez jedną z instytucyj kredytowych zainteresowanych w tych inwestycjach (np. Fundusz Pracy) — przy zastosowaniu surowych ustawowych przepisów przeciw próbom obniżenia wartości gotówkowej pieniądza i nieuzasadnionego podwyższenia cen towarów“.

Aby zrozumieć tak zawile i gęsto zbudowane zdanie, trzeba się uciec niemal do „rozbioru gramatycznego“. Co w niem jest najważniejsze, gdzie jest jego logiczny „podmiot“? Oczywiście „rentowna działalność gospodarcza“. Po dokładniejszem jednak wejrzeniu w tekst, widzimy, że taka działalność jest dopiero postulatem, jeszcze jej niema w rzeczywistości, bo prawdopodobnie gdyby była, nie byłoby dzisiejszej nierentownej działalności, której towarzyszy bezrobocie. Rentowna działalność stać się ma źródłem papierów wartościowych, które posłużą do dodatkowego zabezpieczenia waluty. Ale naprzód trzeba zabezpieczyć te papiery zabezpieczające. Ma to uczynić „inwestor“ przy pomocy np. Funduszu Pracy, jednak dla uzupełnienia systemu pokrycia waluty złotem i dewizami nie może rozporządzać żadnem dodatkowem pokryciem „papierami będącemi wyrazem działalności gospodarczej“, gdyż fundusze Funduszu Pracy pochodzą poprostu jedynie z podatków.

Wychodzi na to, że pieniądze pochodzące z podatków i posiadające wystarczające pokrycie walutowe w złocie i dewizach, stanowiłyby dodatkowe pokrycie siebie samych. Powstaje z tego błędne koło, ale nie powstaje żadne uzupełniające zabezpieczenie waluty.

Zdają sobie z tego sprawę i autorowie projektu, przewidując konieczność zastosowania surowych ustawowych przepisów przeciw próbom obniżenia wartości pieniądza, a tem samem wyrażają duży brak zaufania do „inwestora“ nawet opartego o zainteresowane w jego inwestycjach instytucje kredytowe. W ten sposób sprawa tak doniosła jak wzmocnienie pokrycia waluty staje się czysto dialektyczną zabawką, i jest rzeczą ze wszech miar wątpliwą, żeby mogła się stać tematem poważnych rozważań na sesji sejmowej.

Niestety nie lepiej jest z większością artykułów programu Grupy Pracy, wśród których istnieją takie postulaty jak „naukowe badanie rzeczywistości“. Fundamentalny bowiem postulat Grupy Pracy jest źle opracowanym pomysłem, naraża na szwank powagę całego programu, wystarcza zatem, aby zakwestjonować wartość zamierzonej reformy. W takich warunkach ani rząd ani parlament nie odniosą żadnej korzyści z gorliwości dużego ugrupowania sejmowego; wszystko co ma pchnąć gospodarcze myślenie na nowe tory robi się demonstracją papierową.

KORZYŚĆ Z TEGO NIEWIELKA

„Stronnictwo Narodowe“ ogłosiło manifest, w którym deklaruje swoją gotowość do walki z niebezpieczeństwem komunizmu, i w którym także utożsamia komunistów z Żydami, wobec czego deklaruje jeszcze gotowość do walki z Żydami.

Rząd poprzedni i rząd obecny bez szczególniejszych deklaracyj wypowiedział walkę komunizmowi, jako wrogowi ładu społecznego i niepodległości państwa, nie utożsamiając go jednak z Żydami. Rząd posiada konkretne środki paraliżowania wpływów komunistycznych, „Stronnictwo Narodowe“ posiada je o tyle, o ile uda mu się wywołać nienawiść do Żydów i przekonać swoich wyznawców, że Żydzi i komuniści to to samo.

Rząd stoi na stanowisku że Żyd-komunista jest poprostu komunistą, i wogóle mało się wzrusza narodowościową barwą komunizmu. „Stronnictwo Narodowe“, uważając każdego Żyda za komunistę, upraszcza sobie zadanie i zadowala się przeświadczeniem, że szerząc antysemityzm, walczy tem samem skutecznie z komunizmem.

Gdyby na chwilę zechcieć skonfrontować obie idee walki z komunizmem, otrzymalibyśmy zestawienie paradoksalne: „Stronnictwo Narodowe“ mogłoby z czystem (partyjnem) sumieniem oświadczyć: walkę z komunizmem rozumiemy tylko jako walkę z Żydami, gdy tymczasem rząd miałby prawo odwołać się do pomocy „Stronnictwa Narodowego“ w swojej akcji antykomunistycznej. Porozumienie zależałoby oczywiście od przyjęcia przez rząd tezy, że „Żydzi i komuniści to jedno“, lub od przyjęcia przez „Stronnictwo Narodowe“ tezy, że komuniści jako komuniści są pierwszem i najważniejszem niebezpieczeństwem państwa. Uzgodnienie drugiej tezy byłoby uznaniem taktyki rządu.

Ani jedno ani drugie wyjście nie wydaje się prawdopodobne: „Stronnictwo Narodowe“ nie jest skłonne uznać rządu nawet na odcinku jego walki z komunizmem, bo musiałoby się wówczas wyrzec wygodnego uproszczenia, że Żydzi i komuniści to to samo: rząd znów nie może sprowadzać kwestji komunistycznej do pospolitego antysemityzmu. Rezultat ostateczny jest ten, że z dobrych chęci „Stronnictwa Narodowego“ niewiele będzie pożytku w ogólnej akcji antykomunistycznej, organizowanej przy pomocy rządu.

STANISŁAW ROGOŻ

*

ZAKOŃCZENIE SEJMIKU ORTOGRAFICZNEGO

Komitet Ortograficzny po blisko 15 miesiącach (zaczęło się 21 stycznia 1935) zakończył swoje obrady, uchwaliwszy całokształt zasad, które teraz ściślejszy komitet opracowuje w szczegółach. Potem cały elaborat pójdzie do zatwierdzenia Ministerstwa W. R. i O. P., głównego inicjatora całej tej imprezy.

Jeszcze dwie pasjonujące sprawy rozstrzygano na ostatniej sesji. Najpierw sprawę wielkich liter w nazwach narodowości. Za małą literą przemawiali pp. prof. Lehr-Spławiński, prof. Kleiner, dr. Boy-Żeleński, prof. Kot; za wielką profesorzy Otrębski, Sinko, Doroszewski, Wachholz i p. Irzykowski. Przewodniczący prof. Nitsch zajął takie stanowisko, że i jedna i druga pisownia jest naukowo równie dobrze uzasadniona, że jednak wmieszały się w tę sprawę momenty uczuciowe i zachodzi obawa, że gdy się wprowadzi pisanie narodowości małą literą, mogłyby się znaleźć grupy ludzi niezadowolonych, któreby tę uchwałę zbojkotowały, a nawet przeciw niej agitowały. Dlatego zwolennicy małej litery, jako spokojniejsi, powinni ustąpić. Prof. Kleiner dowodził, że wielka litera raczej przysługuje mikroorganizmom, jak np. nazwom mieszkańców miast, tu też imiona własne jak Jan (Prof. Doroszewski: Ale kto policzył, ilu jest Janów?); gdyby uznać, że przynależność dobrowolna, świadoma wymaga wielkiej litery, to przedewszystkiem musiałyby się przez nią pisać wyznania religijne. Prof. Kot: Nadmiar wielkich liter w piśmie i w druku jest nieszczęściem, pstrokacizną. Prof. Wachholz: Ale ich usunięcie wytworzy wielką monotonię. P. Irzykowski: Z tego, że maszynistki i biurokraci nadużywają wielkich liter, nie wynika, żeby ich oględnie nie używać. Nietylko uczuciowe lecz i naukowe względy przemawiają za wielką literą, bo nazwa narodowości, Francuz, Anglik, Polak, jest jednak imieniem własnem, zwłaszcza u narodów, które okazują wolę historyczną; natomiast mazur, eskimos, karaib mogą być pisani małą literą. Całkiem niesłusznie mechanicznie usiłuje się zmieścić pod jedną czapką: „przedstawicieli narodowości, ras, mieszkańców części świata, krajów, prowincyj i większych obszarów“ — jak to jest w referacie komisji. Prof. Doroszewski podniósł, że wielką literę stosują w tych wypadkach narody zachodnio-europejskie, mała zawędrowała do nas z Rosji.

W głosowaniu było 11 głosów za małą i 11 za wielką literą. Ponieważ do tej drugiej grupy należał przewodniczący, zwyciężyła wielka litera.

Ważniejszą kwestją było podniesione przez paru członków Komitetu żądanie rewizji co do litery „i“ — według artykułu Leona Piwińskiego, zamieszczonego niedawno w *Pionie* (tytuł: W ostatniej chwili). Czyżby Piwiński miał być tym, który coprawda w ostatniej chwili, ale postawił jajko Kolumba, rozwiązał zawiłą zagadkę pogodzenia dźwięków *i*, *y*, *j* i pisania ich w sposób najprostszy? Dość obszerna była nad tem dyskusja i był z niej pewien skutek.

W argumentach podniesiono: Gdyby napowrót wprowadzić *y*, po próbach z *j*, a teraz z *i*, to *y* miałoby dwa brzmienia: *y* i *j*. Już wprowadzenie joty było znacznym postępem, chociaż niektórzy nie chcieli jej przez całe życie uznać, np. Stefan Żeromski, prof. Balzer, a do dziś prof. Twardowski. Przyznanie literze *i* dominującego stanowiska jest dalszym postępem. Oto tabelka:

Dawniej:		Dziś:	
j = j i = j y = j	trzy sposoby	j = j i = j	dwa sposoby

Dalej przytaczano: Pisanie *y* np. po *t*, *d*, *r*, było możliwe wtedy, kiedy takie zestawienia jak *ti*, *di*, *ri*, uchodziły za niepolskie, kiedy nie wolno było pisać: *Aristides*, lecz tylko: *Arystydes*. Ale ta epoka minęła w drugiej połowie wieku XIX, i zaczęto pisać: *Tintoretto*, *batik*, *tik*, *Rivoli*, a nawet w miejsce staropolskiego: *zyścić* weszło *ziścić*.

Zresztą prof. Nitsch obiecał na ten temat napisać artykuł w *Języku Polskim* i można się spodziewać, że Piwiński w *Pionie* odpowie. Ale to już będzie *post festum*, bo tymczasem uchwalono pozostać przy poprzedniej uchwale co do *i*, powziętej po długim przecież namyśle i po przerobieniu aż pięciu projektów. Za pozostaniem przy niej głosowało 14 członków, przeciw 1 (prof. Otrębski), wstrzymało się 5 (Doroszewski, Taszycki, Kot, Saski, Irzykowski).

Ale dodatnim skutkiem artykułu Piwińskiego było, że zastanowiono się jeszcze raz nad możnością rozróżniania 2 przyp. l. mn. w piśmie — bo język go nie rozróżnia — dla pewnych grup wyrazów obcych. Uchwalono tedy dopuścić formy oboczne w tym przypadku: 1) obok *ii* (tych lilii) także: *lilij*, 2) obok *ji po s, z, c (sesji)* dopuścić *yj (sesyj)* i 3) obok *komedii* także *komedyj*.

Już mniej emocjonującą ale bardzo obszerną i gruntowną była dyskusja nad przecinkowaniem. Jak w kwestji wielkich liter tak i tu nie brakło takich, którzy pragnęli „wylać dziecko z kąpielą“ (ulubiony zwrot prof. Nitscha) i ograniczyć używanie przecinków jak najbardziej. Zaznaczyła się też pewna różnica między logikami, dla których przecinek jest głównie narzędziem logicznego oddzielania zdań pobocznych i okresów, niby buforem, tak aby nikt się nie pomylił, co do czego należy, — a estetykami, którzy przypisują przecinkowi rolę także poddawczo-rytmiczną. Była chwila, kiedy wygrali logicy, np. przekreślając dawniejszą uchwałę o nieoddzielaniu „ten“ od „kto“ w zwrotach „ten kto... poszedł“, tak że tu będzie przecinek i otwierający i zamykający (po „poszedł“). Naogół jednak uznano punkt widzenia estetyków, uwzględni też je Komisja opracowująca szczegóły. Słusznie zniesiono przecinki przed „jak“ (w środku zdania) i przed „niż“ — nadużycia maszynistek i drukarzy stąd najczęściej płynęły.

Dłuższa debata teoretyczna odbyła się nad sposobem pisania przymiotników złożonych: kiedy z kreseczką, a kiedy bez kreseczki (np. pisać: *prawdomówny*, ale pisać też: *historyczno-literacki*). Laikowi wydałaby się taka debata dziwną i niepotrzebną, a jednak była ona niezbędna, gdyż są i tu subtelności i rozróżnienia, które w praktyce mogą piszących wprawiać w kłopot; jeden człon takiego złożenia może być ważniejszy od drugiego, albo obydwa mogą być równowartościowe i t. p.

Przejrzano w końcu słowniczek wyrazów ortograficznie wątpliwych. Może kogo zainteresuje to, że dawny *pasorzyt* ma się teraz pisać przez *ż*. Dotychczas było to błędem, teraz będzie cnotą. Czyżby dlatego, że pasorzyt zawiera w sobie nieprzyzwoity wyraz *rzyć?* Otóż nie chodzi o względy przyzwoitościowe, ale 1) o to, że wyraz *rzyć* jednak wyszedł z użycia (został wyparty przez soczystsze?), tak że gdy się zwracało komu uwagę, że *pasorzyt* trzeba pisać przez *rz*, pytał zdziwiony: dlaczego? 2) Pochodzenie wyrazu nie musi koniecznie stanowić o jego pisowni. Z *pasorzytem* odbyła się, jak się wyraził prof. Nitsch, *adideacja*, przesunięcie znaczenia; nietylko pisano — dotychczas mylnie — *pasożyt* ale i myślano: *pasożyt*, to znaczy ktoś, co się pasie na cudzem życiu. W epoce, kiedy się wciąż mówi o wyzysku przez burżujów, kapitalistów, takie skojarzenie narzucało się wciąż, niejako żywiołowo, nawet tym, którzy znali etymologję tego wyrazu. Prof. Nitsch przytoczył jako analogję wyraz *absyda* pochodzący od greckiego *hapto*.

Ofiarą unowocześnienia wyrazów padłem i ja, gdy próbowałem przywrócić podwójne *l* w wyrazach: *iluminacja*, *ilustracja*, *iluzja*, oraz podwójne *r* w *arogancji*. Podnosiłem, że we wszystkich tych wypadkach podwójność odpowiadałaby wrażeniu rzęsistości, drżenia, olśniewania, niepokoju, że podwójność podkreśla, i *arogancję* powinnoby się pisać nawet przez trzy *r*. Niestety przegrałem, natomiast ustąpiono mi przy *innowacji* i *Innocentym* — te wyrazy będą się pisały przez dwa *n*.

Nie trzeba się dziwić, że świetny Komitet mógł czasem zastanawiać się nad tego rodzaju „błahostkami“. Są one potrzebne dla kazuistyki ortograficznej. Przecież wciąż podczas obrad wymieniano wyrazy, których treść jest obojętna, ale za to pisownia pierwszorzędnie trudna. Ortografom chodzi zawsze o jakiś „typ“ trudności. Cała kwestja *i* powstała stąd, że niewiadomo było jak pisać wyraz *archidiecezja* — przez *i* czy przez *j* w środku. Jakaś mała polska miejscowość: Sierzpute, zasłynęła nagle, bo niewiadomo było czy się ma pisać: w Sierzputem, czy w Sierzputym. (Kiedy ja pojadę do tego Sierzputego???). Albo jak upiór wyłoniła się z historji postać króla angielskiego, chyba nawet w Anglji zapomnianego: Jana bez Ziemi. *B* i *z* wielkie, czy małe? Jak się mam pisać? zapytał Jan bez Ziemi i załatwiony ortograficznie położył się napowrót do grobu. Trudno — ale i ortografia musi mieć też swoją mimowolną humorystykę.

Może ktoś bardziej fachowy zrobi syntetyczny bilans obrad Komitetu. Ja stwierdzam jedno: zwycięstwo zasady uproszczenia. Ministerstwo W. R. i O. P. — chociaż na propozycję P. A. U. — dało bodźca do zwołania sejmiku i Ministerstwo, łagodnie, nadało uchwałom tendencję że tak powiem demokratyczną, albo: pedagogiczną. Stąd zwycięstwo *i* w wyrazach wziętych z języków klasycznych: nawet o tem pochodzeniu uczeń wiedzieć już nie potrzebuje. Stąd *y* wyparło *e tam* gdzie się pisało dotychczas: dobrem dzieckiem, pięknemi końmi. Starano się robić jak najmniej rozróżnień, wyjątków, unikano nawet, o ile można, oboczności. (W ostatniej chwili dopiero dopuszczono: *w Zakopanem!*). Dzielenie wyrazów, które dawniej wymagało 34 *(sic!)* regułek, uproszczono zupełnie, nie dopuszczając zresztą do oczywistych absurdów. Językoznawcy, stanowiący trzon Komitetu, tem łatwiej mogli pójść Ministerstwu na rękę, że według ich zdania pisownia jest konwencją a przy jej ustalaniu takie — popularne zwłaszcza u laików — względy jak geneza, fonetyka, historja i pozorna logika nie mogą rozstrzygać w sposób stanowczy.

KAROL IRZYKOWSKI

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., ½-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.